Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 15

Międzynar. wystawa sztuki religijnej w Rzymie

W czterdziestu dziewięciu salach wspaniałego Pałacu Sztuki Współczesnej w Rzymie otwartą została w lutym br. wystawa sztuki religijnej.

Podczas gdy w pierwszej tego ro-



Maks. Szwabiński (Czechosłowacja): św. Jan

dzaju wystawie, przed trzema laty, brali udział wyłącznie tylko artyści włoscy. — to obecna wystawa ma charakter międzynarodowy: obejmuje ona blisko dwa tysiące dzieł artystów rozmaitych narodowości. W szczególności reprezentowane są na wystawie: Austrja, Francja, Niemcy, Polska, Włochy, Węgry, Szwajcarja i Czechosłowacja.

Że zorganizowanie tego rodzaju wystawy było rzeczą wskazaną, a nawet pilną. — na tym punkcie opinja sfer kościelnych jest zupełnie zgodna. Pod wpływem bowiem nowych kierunków w sztuce, zwłaszcza naturalizmu, artyści w kompozycjach swych coraz bardziej oddalali się od tych zasadniczych kanonów liturgicznych, które stanowią jedyne podstawowe kryterjum w zakwalifikowaniu danego obrazu, rzeźby czy witrażu jako dzieła sztuki kościelnej.

Stąd nieporozumienie i pogłębiający się ustawicznie rozdźwięk między klerem a światem artystycznym, — rozdźwięk, sprawiający, że — prócz nielicznych wyjątków — dzisiejsza „sztuka religijna" znajduje miejsce raczej na wystawach obrazów, niż w świątyniach Bożych.

Wystawa rzymska daje artystom możność wypowiedzenia się, — ułatwia im kontakt bezpośredni ze sferami kościelnemi i wreszcie pozwala zorjentować się jednej i drugiej stronie, co na tem polu dotychczas zrobiono, co jeszcze pozostaje do zrobienia, względnie zmodyfikowania.

* * *

Urządzenie wystawy w tych rozmiarach nie było rzeczą łatwą: świadczy o tem już sam fakt, że blisko dziewięćdziesiąt procent z nadesłanych dzieł „jury" wystawowe zmuszone było odrzucić, a mimo to przewodniczący komitetu wystawowego hr. Vecchi di Val Cismon sam przyznaje, iż wśród eksponatów jest jeszcze dużo rzeczy słabych.

Do najsłabszych należą dzieła, wystawione przez Zakony OO. Jezuitów, Franciszkanów i Dominikanów, — dzieła, które nie podlegały uprzedniej ocenie „jury". Są to przeważnie kopie lub naśladownictwa dzieł sztuki starochrześcijańskiej, rzeczy suche, banalne. Jedynym korzystnym wyjątkiem są dzieła Dominikanina O. Maurycego Denis.

* * *

Z malarzy polskich biorą udział w wystawie: prof. Mehoffer, Sichulski i Rosen, którego szkice do fresków w letniej siedzibie Ojca św.. Castel Gandolfo, zajmują całą ścianę.

Bogato reprezentowana jest twórczość artystów austrjackich (Fischer, Rosa Reinhold, Wagner von der Müller, Ullmann, André, Böckl). W zakresie nowoczesnej architektury kościelnej interesujące są zdjęcia kościołów projektu prof. Holzmeistra.

Również i Niemcy obesłali obficie wystawę, dając w pierwszej linji liczne zdjęcia kościołów budowanych w okresie inflacji. W malarstwie i rzeźbie nie stworzyli nic specjalnie oryginalnego.

Bardzo interesująco przedstawia się dział węgierski. Młodzi artyści węgierscy, studjujący w węgerskiej Akademji w Rzymie, sale oddane im do dyspozycji zamienili w rodzaj kościółka, którego wnętrze zajmują odpowiednio rozmieszczone obrazy, rzeźby, witraże, stacje Drogi Krzyżowej, nawet sprzęty kościelne. Pomysł bardzo rozsądny i celowy, — w tem otoczeniu dopiero każdy przedmiot nabiera właściwego znaczenia i pozwala na właściwą ocenę. Toteż oddział węgierski, dzięki temu oryginalnemu, a racjonalnemu rozmieszczeniu eksponatów, robi najsilniejsze wrażenie. A to tembardziej, że i architektura wnętrza, pojęta zupełnie w duchu nowożytnym, jest zupełnie oryginalna, — i eksponaty stoją przeważnie na wysokim poziomie artystycznym: piękne a oryginalne malowidła P. Molnara, witraże L. Arkay, rzeźby Liwji Kuzmik itd.



P. Molnar (Węgry): Ucieczka do Egiptu

* * *

W oddziele włoskim zwracają uwagę wspaniałe hafty z Asyżu, majoliki z Perugji i Salerno, witraże i piękny ołtarz majolikowy z Faenzy z ornamentami w stylu archaistycznym.

Niemniej interesującą jest retrospektywna wystawa sztuki kościelnej.

* * *

Dużo stosunkowo miejsca zajmują plany, szkice i fotografje kościołów, pojętych w duchu współczesnej, najnowszej architektury. I słusznie: o ile bowiem idzie o renesans sztuki kościelnej to właśnie budownictwo dzisiejsze daje do tego najwięcej sposobności. Dużo przestrzeni i światła, pewna prostota i surowość stylu, jasne, gładkie ściany, nie przeciążone żadnemi ornamentami, stanowią wręcz wymarzone tło dla obrazów, fresków, rzeźb i mozaik, przedstawiających sceny z życia Chrystusa, N. M. Panny i Świętych, tego wiecznie żywego źródła, z którego od wieków czerpią natchnienie wielcy artyści. Projekty te i fotografje stanowią najlepszy dowód, że sztuka dzisiejsza da się w pełni pogodzić z wymaganiami Kościoła, — że i dzisiejszy artysta, idąc z postępem czasu, potrafi stworzyć dzieła piękne i wartościowe, będące dokumentem epoki, a zasługujące równocześnie w całej pełni na miano domów Bożych.

Klasycznym tego przykładem jest właśnie ów kościółek węgierski, pełen pogodnej harmonji w swej nowoczesnej prostocie.

(R.)



P. Bourdelle (Francja): św. Joanna d'Arc



R. Cellini (Włochy): Św. Mikołaj z Bari (haft)

Zatrucia tlenkiem węgla

Nowoczesna chemja gazów bojowych klasyfikuje je na kilka zasadniczych grup, zależnie od działania danego gazu na organizm ludzki, od składu chemicznego i rodzaju fabrykacji.

Klasyfikacja ta inaczej się przedstawia w ujęciu chemika, czy technologa, — a inaczej w pojęciu lekarza, którego zadaniem jest nieść pomoc ofiarom zatrucia. We wszystkich jednak tego rodzaju podziałach figuruje osobna grupa „gazów bojowych", składająca się z kwasu pruskiego i tlenku węgla, a okreś lona mianem „chemicznych środków duszących", względnie, wedle terminologji Dadleza i Koskowskiego, mianem gazów „porażających oddechanie tkankowe".

Tak więc i tlenek węgla uważany jest powszechnie za „gaz bojowy", — jakkolwiek w ostatniej wielkiej wojnie nie był on nigdy stosowany jako środek walki ofensywnej, ani też prawdopodobnie w tym charakterze nigdy stosowany nie będzie.

Mimo to jest tlenek węgla groźnym i niebezpiecznym wrogiem żołnierza na froncie, — tem groźniejszym, że jest to gaz zupełnie bezwonny i bezbarwny o skomplikowanem, a perfidnem działaniu.

Wytwarza się on w większych ilościach przy wybuchu pocisków, a działanie jego staje się szczególnie niebezpieczne, gdy wybuch nastąpi w miejscach zamkniętych, na ograniczonej stosunkowo przestrzeni, a więc np. wewnątrz czołgów, w chodnikach minowych podziemnych, w schronach karabinów maszynowych, pociągach pancernych i t. p.

Ale i w życiu codziennem zatrucia tlenkiem węgla nie należą do rzadkości. Należą tu tak częste wypadki zaczadzenia oraz zatrucia gazem świetlnym (w skład którego wchodzi stale tlenek węgla) i wreszcie zatrucia gazami wydobywającemi się z motorów benzynowych w zamkniętych garażach samochodowych.

Dlatego omówienie objawów zatrucia oraz środków zapobiegawczych i leczniczych zainteresuje nietylko fachowców.

* * *

Jak już wspomnieliśmy, tlenek węgla jest gazem bezwonnym i bezbarwnym, lżejszym od powietrza. Wywiązuje się on skutkiem niedość dokładnego i zupełnego spalenia węgla.

W działaniu swem nie uszkadza bezpośrednio dróg oddechowych ani tkanki płucnej; łączy się on natomiast z hemoglobiną krwi, uniemożliwiając w ten sposób przenoszenie tlenu do tkanek organizmu. Następstwem tego jest niedostateczne utlenienie krwi, co w rezultacie doprowadzić może do porażenia ośrodków oddechowych i serca.

Na szczęście tlenek węgla nie działa szkodliwie ani na czerwone ciałka krwi, ani na mięsień sercowy. O ile zatem przywrócimy w porę dopływ tlenu i świeżego powietrza, — we krwi pojawia się z powrotem oksyhemoglobina, a uwolniony przez ten proces tlenek węgla zostaje przy oddechaniu wydalony na zewnątrz.

* * *

W zatruciu ciężkiem pierwszemi objawami są zawrót i ból głowy, coraz silniejszy, połączony ze szumem w uszach, łzawieniem i osłabieniem wzroku.

W dalszym ciągu przychodzi ogólne osłabienie, senność i utrata władzy w rękach i nogach. Zatruty zdaje sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, nie może jednak zdobyć się na ten wysiłek, aby ratować się ucieczką.

O ile pomoc nie przyjdzie na czas, zatruty traci przytomność; przychodzą drgawki i wymioty, mogące niejednokrotnie doprowadzić do uduszenia się. Oddech staje się ciężki, chrapliwy, tętno słabnie coraz bardziej, — aż wreszcie i serce ustaje w pracy.

W wypadkach lżejszych objawy są podobne, jednak zazwyczaj nie dochodzi do utraty przytomności.

Po wyleczeniu jeszcze przez długi czas trwają, nieraz bardzo poważne i przykre, zaburzenia systemu nerwowego, jak histerja, neurastenja, częściowa utrata pamięci, upośledzenie władz umysłowych itp.

* * *

Jak zabezpieczyć się przed tlenkiem węgla i jego zabójczem działaniem?, oto pierwsze, zasadnicze pytanie. Nieocenione przysługi oddają tu człowiekowi małe zwierzątka, przedewszystkiem kanarki i myszy. Toteż obecnie w kopalniach, a podczas wojny w okopach, dla wykrywania nadmiernej obecności tlenku węgla używano kanarków, opierając się na znanym we fizjologji fakcie, że małe zwierzątko zużywa w stosunku do wagi swego ciała znacznie więcej tlenu niż człowiek, zaczem w zatrutej atmosferze ginie też znacznie wcześniej od człowieka. I tak atmosfera tlenku węglowego, w której kanarek ginie już po pięciu minutach, staje się niebezpieczną dla człowieka dopiero po całogodzinnym pobycie.

Skonstruowano też specjalne maski gazowe, chroniące przed zatruciem tlenkiem węgla. Maski te zawierają specjalny katalizator, zwany „hopkalitem" od nazwiska wynalazcy, amerykanina Johna Hopkinsa Jest to mieszanina tlenków manganu, srebra, miedzi i kobaltu, przyspieszająca bardzo wydatnie reakcję chemiczną, polegającą na powstawaniu dwutlenku węgla pod działaniem tlenu zawartego w powietrzu.

Maski te posiadają też warstwę chlorku wapniowego, absorbującego wodę, która wpływa niszcząco na działanie „hopkalitu".

* * *

Środki te prewencyjne mają zastosowanie zasadniczo tylko podczas wojny. Nas interesuje raczej kwestja, jak należy ratować zatrutego tlenkiem węgla w pierwszej chwili, przed przybyciem lekarza.

Najważniejszą, pierwszą czynnością będzie usunięcie zatrutego z atmosfery tlenku węgla, przeniesienie go na świeże, czyste powietrze. W cięższych wypadkach trzeba podać do oddechania tlen z domieszką 5% bezwodnika węglowego. Jeżeli ruchy oddechowe ustają, — stosować trzeba sztuczne oddechanie, nie zrażając się początkowem niepowodzeniem. Znane są bowiem wypadki odratowania zatrutego po 5—6 godzinnem stosowaniu sztucznego oddechania.

Celem otrzeźwienia skrapia się twarz wodą z octem, — a gdy przytomność wróci, podaje się czarną kawę lub mocną herbatę z winem.

Zwrócić też należy odrazu uwagę na jamę ustną, którą należy oczyścić dokładnie, a język wysunąć nazewnątrz.

Wreszcie, gdy zatruty odzyska przytomność i zacznie oddychać, należy go ciepło okryć, przykładając równocześnie do stóp butelkę z gorącą wodą.

Dalsza kuracja należy już do lekarza.

(R.)

Ateistyczny alfabet

Nigdzie może nie doprowadzono propagandy do takiej doskonałości, jak w Rosji Sowieckiej. Literatura, malarstwo, teatr są tam prawdziwem przeciwieństwem sztuki dla sztuki. Wszystko jest obliczone na apoteozę walki klas, pohańbienia burżujów, gloryfikację, proletarjatu wojującego i — co najbardziej oburza — na wykorzenianie z dusz religji.

Obecne księgarnie poświęcone tej propagandzie, wykłady, filmy, odpowiednio skonstruowane sztuki teatralne — wszystko to środki, zmierzające do jednego celu. Wszelkie pojęcia metafizyczne mają zniknąć, a w ich miejsce zapanować materjalizm.

Szczególną uwagę zwracają bolszewicy na dzieci. Nauczyciele i często pojawiający się inspektorzy mają polecenie zwalczać u nich pojęcia religijne i wszelką myśl o Bogu. Czynią to nieraz przy pomocy prymitywnych sztuczek, obliczonych na dziecięcą naiwność: Módl się do Boga, żeby ci zesłał cukierka. Widzisz nic nie dostałeś. A ja ci daję cukierka. Masz, ale zapamiętaj sobie, że niema żadnego Boga...

Kiedyś miałem sposobność pisać na tem miejscu o „gwiazdkowych wydawnictwach ateistycznych" tj. o wymierzonych przeciw religji książkach dla dzieci. Ale nie poprzestano na tem. Jakiś członek Ligi Bezbożników wpadł na pomysł zużytkowania dla propagandy elementarza. W najbliższym czasie wprowadzone będą w najbliższych klasach szkół powszechnych i przedszkolach miłe książeczki następującego typu.

Przy każdej literze obrazeczek i jedno zdanie, złożone z wyrazów zaczynających się od niej. A więc przy B. wdzimy czerwoną miotłę, która odmiata Biblję i ikonę, a przy tem napisane: „Brostje, bratcy, bogów bołat sa" (Bracia, nie bójcie się już bogów). Ostatnią literę analfabetu jest Jat'. Ilustruje ją rozwidlony język żmiji, wysuwający się z ust głowy o wstrętnych rysach, przyozdobionej biskupią mitrą. „Jadowitawo jazyka jarost'jarka" czytamy obok (Szał jadowitego języka.) W. przyozdobione jest następującym obrazkiem. Kapitalista w cylindrze i z monoklem, oparty a z rysami zbrodniarza, trzyma w ręku konewaczkę, z której płynie struga płynu, nazwanego religją. Potem na postać w szatach wschodnich tnie go w twarz szablą. Obok kobieta wybija pokłony, a mężczyzna tańczy, biczując się w mistycznym szale. Napis: Wiara jest szkodliwa, jeszcze szkodliwsza od wina.

Jak wygląda ideał sowieckiego chłopca? O tem poucza nas inna kartka elementarza. Cto ziarsko wyglądający pionner (czyli harcerz). W ręku trzyma parasol — symbol niewzruszonego materjalizmu — i skutecznie zasłania się przed strugami nauk religijnych, które płyną z ust trzech popów (naturalnie znowu typy zbrodnicze). To znowu czerwony traktor zwycięsko posuwa się naprzód, obalając po drodze cerkiew, dzwonnicę i przy sposobności dwóch kułaków — wsteczników.

Pomysłowości Lidze Bezbożników nie brak. A przecie jej sekretarz jeneralny, Emiljan Jarosławski skarży się, że natrafia ustawicznie na mniej lub więcej widoczne objawy religijności. Szczególnie odporne na propagandę ateistyczną są urodzajne stolice na południowy wsch'd od Moskwy W ostatnich czasach stwierdzono tam nawet powstanie kilku nowych sekt, opartych na doktrynie chrześcijańskiej. Niedarmo Kściół uczy, że człowiek ma wrodzony „talent religijny".

Jan Szarzyński.

Cośniecoś o rękawiczkach

Historja rękawiczki jest niemal tak starą jak historja ludzkości. A była rękawiczka przez długie wieki wyłącznym atrybutem właśnie — płci brzydkiej. Człowiek pierwotny, skazany na ciężką pracę w polu, wystawiony na mrozy, deszcze i zimna, zmuszony był sporządzić sobie jakąś odpowiednią ochronę na rece, — do czego służyła mu skóra odpowiednio spreparowana.

Pierwsze wzmianki o rękawiczkach spotykamy już w starożytności: ojciec Odyseusza, Laertes, używał ich dla ochrony przed ostremi kamieniami i kłującemi roślinami podczas pracy w ogrodzie.

Za czasów Cicerona i Owidjusza noszono w Rzymie ciepłe rękawiczki, sięgające aż do łokcia, dla zabezpieczenia przed zimnem.

W średniowieczu rękawice stają się częścią składową rycerskiego rynsztunku. Sporządzone z tego samego metalu co i cała zbroja, są oznaką godności rycerza. Z tego też okresu czasu pochodzi wyrażenie „rzucenie rękawicy", brane wówczas dosłownie. A rzucenie takiej żelaznej rękawicy było rzeczą naprawdę poważną i ważką!

Stopniowo rękawiczka zyskuje coraz bardziej na znaczeniu: od XII wieku wchodzi ona w skład stroju koronacyjnego władców; u duchowieństwa staje się symbolem czystości.

Nieco inne przeznaczenie ma rękawiczka we wiekach średnich w Anglji. Utarł się tam zwyczaj, że oskarżony przesyłał przed rozprawą sędziemu parę rękawiczek — jako symbol swej niewinności. By zaś sędziego przekonać o tem jeszcze skuteczniej, — napełniał owe rękawiczki złotemi monetami.

Konserwatywna Anglja, pielęgnująca tak troskliwe dawne zwyczaje, dochowała i ten tradycyjny zwyczaj w pewnej, odpowiednio zmienionej postaci.

Oto lord - major Londynu otrzymuje parę białych rękawiczek w dniu, w którym w jego okręgu sądowym nie wpłynęła żadna skarga, w którym to dniu zatem wszyscy obywatele, zamieszkali w jego okręgu, są „niewinni".

Kunszt rękawiczny doszedł zwłaszcza w republice weneckiej do szczytu rozwoju. Rękawiczki stają się prawdziwemi arcydziełami, zdobnemi w prześliczne hafty, w perły i drogie kamienie.

Stopniowo powstają fabryki rękawiczek we Francji, Anglji, Hiszpanji. Do niesłychanej perfekcji dochodzą rękawicznicy w Irlandji: sporządzają oni rękawiczki tak cieniutkie, delikatne i lekkie, że można było parę zmieścić w łupinie od orzecha włoskiego. Do dziś jeszcze poszczególne cechy angielskich rękawiczników mają orzech włoski jako swe godło.

Francja od wieków już dzierży prym na polu wyrobu rękawiczek. Od wieków już utarło się powiedzenie, iż do sporządzenia dobrej pary rękawiczek konieczną jest współpraca trzech królestw: Hiszpanji dla wyprawienia skórki, Francji dla skrojenia jej i Anglji dla uszycia.

Dziś Francja nadaje ton całemu światu, a rękawiczki francuskie, — mimo silnej konkurencji fabryk duńskich i angielskich, — stanowią zawsze najwyższą kreację i pozostają celem marzeń każdej kobiety.

(kr.)

Wyspy Filipińskie

Przed paru tygodniami telegramy przyniosły wiadomość z Waszyngtonu, że prezydent Roosevelt podpisał ustawę, zapewniającą wyspom Filipińskim zupełną niezależność polityczną. Sporo jeszcze wody upłynie, zanim ustawa ta zostanie praktycznie zrealizowana, gdyż ustawa przewiduje, że parlament tamtejszy ma do 1 października opracować nową konstytucję; — w każdym jednak razie ustawa ma bardzo doniosłe znaczenie zarówno polityczne jak i ekonomiczne.

Filipiny bowiem były dotychczas najważniejszą kolonją zamorską Stanów Zjednoczonych, — stanowiąc zarazem ich punkt oparcia w walce o supremację na Oceanie Wielkim, zagrożoną przez coraz silniejszą ekspansję japońską.

Co się kryje za kulisami tej ustawy, nadającej wyspom Filipińskim zupełną niezależność, — trudno zgadnąć. Niewątpliwie, — podobnie jak w Indjach, Indochinach, czy w kolonjach holenderskich, — wchodziła tu w grę silna agitacja polityczna za odzyskaniem niezawisłości, podsycana z zewnątrz przez zupełnie obce, a wrogie czynniki.

* * *

Rzućmy okiem na mapę południowo-wschodniej Azji: oblewa ją morze południowo-chińskie, stanowiące niejako przedsionek Pacyfiku. Możnaby je, ze względu na jego kontury, nazwać Morzem Śródziemnem Dalekiego Wschodu, — a z niemniejszą słusznością i morzem międzynarodowem. Wzdłuż jego wybrzeży rozsiadły się bowiem: Indje holenderskie, Indochiny, kolonje angielskie na półwyspie malajskim, wreszcie wyspy Filipińskie — i najdalej na północy japońska Formoza. Dziś, kiedy ustała już rywalizacja mocarstw kolonjalnych, kiedy każda niemal piędź ziemi jest już obsadzona — mocarstwa te, złączone wspólnotą interesów, starają się porozumieć między sobą i uzgodnić swą politykę kolonjalną — wobec pokojowego, ekonomicznego podboju tych kolonij przez Japonję, i wobec jeszcze groźniejszego wroga, jakim jest prowadzona od paru lat agitacja komunistyczna.

A Filipiny, ostatnie ogniwo łańcucha na drodze do Japonji, odgrywają w tej sytuacji bardzo doniosłą rolę.

* * *

Wyspy Filipińskie od niedawna dopiero weszły w orbitę zainteresowań ogólnoświatowych.

Odkryte w roku 1521 przez słynnego podróżnika Magellana, (który na nich śmierć znalazł, zamordowany przez dzikich krajowców), nosiły początkowo mało zaszczytną nazwę „Wysp Złodziejskich", Dopiero w roku 1543 otrzymały obecną nazwę, ku czci króla Filipa II.

Przez blisko cztery wieki stanowiły one kolonję hiszpańską; dopiero wojna hiszpańsko - amerykańska w roku 1898 zadecydowała o ich dalszym losie: traktatem paryskim Hiszpanja, pobita, zrzekła się swej suwerenności na rzecz Stanów Zjednoczonych A. P., które odrazu zainicjowały tam planową i rozsądną politykę ekonomiczną.

Po krótkim stosunkowo okresie dyktatury, już w roku 1916 uzyskały Filipiny pewną autonomję z własnym parlamentem i generalnym gubernatorem, mianowanym przez Waszyngton.

Równocześnie rząd Stanów Zjednoczonych nie szczędził wysiłków i kosztów, by tej swojej kolonji zapewnić jaknajpomyślniejsze warunki rozwoju. Zakładano plantacje trzciny cukrowej, budowano fabryki, bite drogi i linje kolejowe, budowano setki szkół. Podniósł się znacznie dobrobyt i stan kultury, warunki sanitarne i hygjeniczne uległy polepszeniu, dzięki czemu śmiertelność wydatnie spadła. Import krajowych produktów do metropolji wolny jest od wszelkich ceł, — taksamo i emigracja do Stanów Zjednoczonych nie podlega żadnym ograniczeniom.

Jednem słowem Filipiny stały się kwitnącą, bogatą kolonją, otoczoną czujną opieką potężnej metropolji, — a związane z nią dość luźno, na podobnych warunkach jak dominja angielskie ze swą metropolją.

* * *

Czy ludność tych wysp dojrzała już politycznie na tyle, że może sama swobodnie stanowić o swym przyszłym losie, — to pytanie dość trudne do rozwiązania.

Prawda, że ludność ta liczy zgórą 12 miljonów głów. Są to jednak w olbrzymiej większości plemiona stojące jeszcze na bardzo niskim stopniu kultury. Prawda, że na największych wyspach tego archipelagu (obejmującego z górą sześć tysięcy wysp i wysepek), na Luzon, Mindanao, ujrzeć można olbrzymie, doskonale urządzone plantacje ryżu, bawełny, tytoniu, trzciny cukrowej, — że stolica Manila jest prześlicznem miastem, gdzie prymitywny egzotyzm miesza się z współczesnym komfortem i postępem. Wszystko to prawda, — ale wystarczy parę godzin drogi, by znaleść się wśród prawdziwej, autentycznej dżungli, w głębi której żyją krajowcy, najzupełniej autentyczni „dzicy ludzie", uzbrojeni w bambusowe łuki i zatrute strzały, żywiący się owocami i upolowaną zwierzyną. Ludzie, którzy nie znają nawet lusterka, a za całe ubranie mają kawałek skóry opasany na biodrach.

Krajowcy zresztą mają tam — podobnie jak w Indjach — bardzo skromne wymagania, których zaspokojenie przychodzi im bez trudu, ziemia bowiem jest niesłychanie żyzna.

Specjalnością Filipin jest słynny na całym świecie szpagat „manila", — oraz kapelusze słomkowe, bardzo poszukiwane dla ich lekkości i trwałości. A pozatem olej kokosowy, drzewo sandałowe, kopra, olejki i korzenie, — to obok ryżu, kauczuku i cukru główne artykuły eksportu, dzięki którym bilans handlowy tych błogosławionych wysp jest stale aktywny.

I jeżeli od czasu do czasu jakieś trzęsienie ziemi czy straszny tajfun nawiedzi którąś z wysp, siejąc śmierć i zniszczenie, — to katastrofa podobna przechodzi szybko bez śladu w tym kraju, gdzie życie bujnie się krzewi, znajdując po temu wymarzone wręcz warunki. (k. r.)



Typowy pejzaż z Wysp Filipińskich



Obyczaje małżeńskie plemienia „Morosów". Oblubienica wraz ze swą rodziną niesiona w palankinie, w którego wnętrzu mieści się cały jej posag

„Ciężka woda" i „ciężki wodór"

Dużo pisało się w swoim czasie o odkryciu tzw. „ciężkiej wody", dokonanem przez uczonych amerykańskich Lewisa, Warburna i in.

Jakkolwiek cała sprawa nie wyszła dotychczas poza obręb żmudnych a kosztownych studjów laboratoryjnych, — to jednak już dziś przewidzieć można, że odkrycie to może wywołać poważne zmiany, jeżeli nawet nie zupełny przewrót w całej chemji, a może i w terapji współczesnej.

Jak wiadomo, „ciężka woda" posiada normalny skład chemiczny H_2O, tj. dwa atomy wodoru i jeden atom tlenu, — z tą jednak różnicą, że jej ciężar molekularny wyraża się cyfrą 20, zamiast normalnego ciężaru 18. Różnica polega na tem, iż w skład „ciężkiej wody" wchodzą tzw. „izotopy", tj. atomy wodoru, posiadające ciężar atomowy dwukrotnie wyższy od normalnego.

Uzyskać można ciężką wodę drogą długotrwałej elektrolizy wody zwyczajnej, — przyczem jak doświadczenia wykazały, woda zwyczajna zawiera wodę ciężką w stałym stosunku około 1:5000.

Znane nam też są właściwości owej „ciężkiej wody": jej ciężar gatunkowy wyraża się cyfrą 1.1056, jej punkt wrzenia jest przy 101.42°, a punkt marznięcia przy 3.8°. Wiadomo nam również, że proces fermentacji w wodzie ciężkiej ulega znacznemu opóźnieniu lub nawet zupełnemu zahamowaniu.

Natomiast nie wiemy dotąd nic zupełnie o jej działaniu — szkodliwem czy dodatniem — na organizmy żyjące, w szczególności na organizm ludzki — i w tej dziedzinie otwiera się dla uczonych nowe, obszerne pole pracy i doświadczeń.

* * *

Niemniej interesująco przedstawia się jednak i druga kwestja: kwestja owego „ciężkiego" wodoru, izotopu normalnego wodoru, a więc posiadającego ciężar dwukrotnie wyższy.

Dzięki syntezie organicznej zdołano wyprodukować setki i tysiące rozmaitych substancyj, w skład których wchodzi wodór normalny, o ciężarze atomowym. 1. Otóż zastępując w tych substancjach wodór normalny wodorem „ciężkim", otrzymamy nowe substancje, — o tym samym zasadniczo składzie chemicznym, ale przypuszczalnie o innych zupełnie właściwościach. Może to dać początek jakiejś nowej zupełnie chemji i doprowadzić do całego szeregu nowych odkryć. A możliwości są tu niemal nieograniczone, skoro uprzytomnimy sobie, że w molekułach, zawierających w swym składzie więcej atomów wodoru, można będzie dowolnie jeden, dwa, lub więcej atomów zastępować kolejno wodorem „ciężkim", otrzymując w ten sposób za każdym razem inny, odrębny produkt.

Pierwsze próby w tym kierunku przeprowadzono już właśnie na wodzie: skoro skład chemiczny wody wyraża się formułką H_2O, — zatem można teoretycznie wyprodukować jeszcze jedną odmianę wody, „półciężką", złożoną z jednego atomu wodoru normalnego i drugiego atomu jego „izotopu" o podwójnym ciężarze atomowym. Faktycznie też taką „półciężką" wodę udało się wyprodukować drogą laboratoryjną.

Ale idźmy dalej: jak wiadomo, alkohol zawiera w sobie sześć atomów wodoru. Ileż zatem rozmaitych jego odmian można wyprodukować, zastępując kolejno jeden lub więcej tych atomów wodorem „ciężkim"! Jakie będą cechy i właściwości tych nowych produktów, jakie będą miały znaczenie dla człowieka, — oto pytania, których rozwiązanie zainteresuje już nietylko uczonego teoretyka.

Tożsamo dotyczy w jeszcze większej mierze preparatów leczniczych, w skład których wchodzi wodór w takim czy innym związku chemicznym. I na tem polu przewidywać można liczne, a doniosłe odkrycia.

Z krótkiego tego szkicu wynika, że eksperyment laboratoryjny, interesujący początkowo tylko szczupłe grono teoretyków-uczonych, może wywołać zasadnicze zmiany w całej chemji współczesnej. I o ile sama „ciężka woda", jak dotąd, nie ma żadnego praktycznego zastosowania, — to odkrycie „ciężkiego" wodoru uważać należy za fakt bardzo doniosły w rozwoju wiedzy ludzkiej.

Wbrew zwyczajowi

Gazety kanadyjskie, a za niemi amerykańskie i angielskie zanotowały niezwykły postępek oldermana (tj. jakgdyby ławnika lub asesora) J. H. Briena w Montrealu. Przed nowemi wyborami gminnemi zwołał on zebranie, na którem wyjął z kieszeni swoją odezwę z kampanji wyborczej z przed dwóch lat. Zawierała ona 12 punktów. Brien czytał po kolei. Pokazało się, że 8 obietnic spełnił, 4 pozostały niespełnione, co otwarcie przyznał.

— Widzicie teraz, com zrobił, a czegom nie zrobił. Czy jesteście za mnie zadowoleni?

— Tak, tak — posypały się okrzyki z tłumu.

— Doskonale. Wobec tego kandyduję znowu.

—o—

Z Polski o Polsce

Propaganda przez radjo w językach obcych

Czasy powojenne cechuje niezwykle silny rozwój środków propagandowych, wśród których radjo zajmuje miejsce wybitne. Radjo przenika swobodnie przez granice państw i może być słuchane niezależnie od kraju, a nawet części świata. Głos radja dociera bezpośrednio do najbardziej zamkniętych mieszkań, atakuje słuchacza w jego własnym domu, zmuszając często do wysłuchania tematu, który przedtem wogóle nie zajmował jego umysłu.

Nic dziwnego, że wszystkie niemal radjofonje stanęły do wyścigu propagandy nietylko wśród słuchaczy własnego kraju ale również i wśród obcych.

Zagadnienie nadawania przez radjo odczytów w językach obcych jest trudne do rozwiązania w praktyce. Przecież radjofonja musi dawać przedewszystkiem program zrozumiały dla większości swych abonentów, a odczyty w językach obcych nie mogą być podciągnięte pod tę kategorję. Są jednak pewne względy wyższe, konieczności państwowe, kiedy radjo musi zrobić wyłom w tej zasadzie i musi ponieść niezbyt ciężką ofiarę na ołtarzu dobra ogólnego. Ofiarę tę ponoszą również radjosłuchacze, którzy słysząc odczyt np. w języku nowogreckim muszą zrezygnować na tenczas z korzystania z radja.

Polskie Radjo stosuje dawkowanie odczytów w językach obcych w ramach, które w żaden sposób nie mogą krzywdzić dobrych praw radjosłuchaczy polskich. Z chwilą uruchomienia Raszyna, a więc stacji słyszalnej dobrze w całej Europie, odczyty w językach obcych narzuciły się radju jako konieczność.

Podstawą programową odczytów obcych była stale idea dobrego służenia sprawom Polski. To też często odczyt w języku obcym poruszał zagadnienia bieżące natychmiastowe i aktualne, te zagadnienia, które wymagały natychmiastowej interwencji w sensie poinformowania o istotnym stanie stosunków celem przeciwdziałania mylnym mniemaniom.

Odczyty angielskie

Odczyty zagraniczne w Polskiem Radjo obejmowały szeroki krąg zagadnień od turystyki aż po problemy naukowe. Przed mikrofonami Polskiego Radja stawali jako prelegenci i Polacy i goście zagraniczni, nasi przyjaciele, którzy korzystając z pobytu w Polsce, bogaci w bezpośrednie doświadczenia, informowali z Polski o Polsce swych rodaków. Do takich należy Dr. Jan Zbinden, filozof szwajcarski, który mówił w Polskiem Radjo po niemiecku o wrażeniach z pobytu w Polsce, do takich należy p. Aillen Alpen która opisywała Anglikom Polskę widzianą oczyma Australijki. Również po angielsku p. Stanley Philipson informował swych rodaków o stosunkach gospodarczych polsko-angielskich.

Zagadnienia międzynarodowe z punktu widzenia polskiego oświetlał znakomity znawca prawa międzynarodowego prof. Ludwik Ehrlich w dwu odczytach angielskich: „Dobra wiara w stosunkach międzynarodowych" i „Rewizja traktatów i prawo międzynarodowe".

Dorobek pracy polskiej, imponujący w perspektywie 15-lecia na różnych odcinkach, oświetlono w języku angielskim i francuskim. Po angielsku mówił na ten temat p. Tadeusz Ordon, po francusku zaś red. Stanisław Poraj. Również udział Polski w międzynarodowym wysiłku naukowym oświetlony był w odczytach obcych Polskiego Radja o wielkim fizyku polskim — Marjanie Smoluchowskim w związku z rocznicą epokowego eksperymentu: skroplenia powietrza mówił prof. Malarski ze Lwowa, zaś o naszej genjalnej rodaczce Marji Curie Skłodowskiej w laboratorjum i w domu informowała Anglików p. Romana i Dalborowa.

Z odczytów angielskich wymienić jeszcze należy odczyt p. Tadeusza Ostrowskiego „Polskie Koleje Państwowe", p. Red. Maksymiljana Goryńskiego o „Polskiem morzu" i prof. Dr. Walerjana Goetla „Ochrona przyrody w Polsce".

Wielka ilość odczytów angielskich nadawanych przez Polskie Radjo nie jest przypadkowa. Opinja angielska jest najsłabiej poinformowana o sprawach polskich i o tem, czem naprawdę jest odrodzone państwo. Pozatem radjosłuchacze angielscy reprezentują sześciomiljonową rzeszę, która jest bardzo wdzięcznym terenem propagandowym.

Z odczytów w innych językach wymienić należy czeski odczyt p. Witolda Bunikiewicza „Romantyczność ziemi polskiej" rumuński prof. Biedrzyckiego „Turystyka w Polsce" i włoski prof. Jana Liwoczyńskiego „Piękno Polski".

Odrębnie traktować należy odczyty w języku nowogreckim. Zdawałoby się, że propagandowe ich znaczenie jest nie wielkie z powodu małego rozpowszechnienia tego języka. W istocie jest odwrotnie, gdyż radjosłuchacze greccy nie posiadając własnej rozgłośni z wielką chciwością i zainteresowaniem słuchają odczytów przez radjo w swym języku i są bardzo wdzięczni Polskiemu Radju, że od czasu do czasu nadaje prelekcje specjalnie dla nich przeznaczone.

Esperanto propaguje naszą pracę

Do odczytów w językach obcych należą również odczyty w języku międzynarodowym — esperanto. Esperantyści są idealistami, którzy chciwie łapią na swych odbiornikach rozrzuconych po całej kuli ziemskiej każde słowo radjowe wypowiedziane w ich dźwięcznym języku. Odczytów esperanckich w roku 1933 było 27. Poruszały one najbardziej różnorodne zagadnienia. Teksty pisane po polsku przez różnych autorów tłumaczył w Krakowie znany esperantysta polski, p. Tadeusz Hodakowski i wygłaszał je następnie przed mikrofonem. Z ważniejszych odczytów wymienić należy. prof. Leona Chwistka o „Kulturze duchowej Polski", Dr. F. Burdeckiego „W 50-tą rocznicę skroplenia powietrza przez uczonych polskich".

O rozsławionym w całej Europie hejnale marjackim mówił Dr. Jerzy Dobrzycki, o Fryderyku Chopinie Dr. Józef Reiss, o Sobieskim pod Wiedniem Tadeusz Hodakowski.

Specjalnie podkreślić należy troskę esperantystów o wykorzystanie radja w kierunku propagandowym. Nietylko słuchali chętnie odczytów, ale sami prosili o nadanie im prelekcji na pewien określony temat, który im wydawał się niezbyt jasny. Z tej troski wyrósł odczyt Tadeusza Hodakowskiego pt. „Toruń i Kopernik", gdyż esperantyści chcieli, aby w języku esperanckim poinformowano cały świat o polskości Kopernika i o polskości jego rodzinnego miasta Torunia.

Esperanto spełnia w jednej dziedzinie olbrzymią rolę. Ociemniali których liczba po wojnie wzrosła, z powodu pewnych trudności w drukowaniu książek systemem Brailla w językach krajowych, używają esperanta jako środka porozumiewania się. Dla tych esperantystów przeznaczone były dwa odczyty, a mianowice, kpt. Jana Silhama pt. „Esperanto a ociemniali", oraz p. Zygmunta Sobolty „Samopomoc ociemniałych w Polsce".

W dziedzinie propagandy turystki polskiej również nadano kilka odczytów. Omówiono przed mikrofonem sporty zimowe w Polsce, dorobek Gdyni, kąpieliska w Polsce, oraz porę letnią, jako najwłaściwszą do zwiedzania Polski przez obcych.

Wspomnieć również należy o odczycie esperanckim poświęconym Witowi Stwoszowi w związku z jego jubileuszem obchodzonym w roku ubiegłym. f.

Lawrence Arabski

Wodzowie rzymscy nazywali się *Africanus, Asiaticus, Illyricus* od krajów, które podbili. Marszałkowie napoleońscy otrzymywali tytuły książęce od miejsca swych zwycięstw. Taksamo T. E. Lawrence nazywa się dziś w Anglji Lawrencem Arabskim *(Lawrence of Arabia)*. Zaszczyt ten osiągnął organizując powstanie Arabów przeciw Turkom. Zaczął od partyzantki, ale wydzierał nieprzyjacielowi punkty oparcia, przerywał mu linję kolejową, łupił czy niszczył magazyny i wogóle zrządzał niezliczone szkody. W sumie działalność ta równała się zwycięstwu w walnej bitwie. Obliczają, że w czasie, gdy Anglja przygotowywała ofensywę na Syrję, ruchawka arabska trzymała w szachu połowę sił tureckich, stojących na południe od Damaszku.

Około osoby tego oficera, który jako młody człowiek stał na czele wielkiego przedsięwzięcia, przywodził Arabom i tak poznał ich mowę, obyczaje, stosunki, że ani razu nie powinęła mu się noga i że otrzymał od nich godność „księcia Mekki", wytworzyła się już legenda. Przyczynia się do niej postępowanie samego Lawrence'a. Nie tylko nigdy nie nosi on orderów i podobno odrzucił ofiarowany sobie tytuł Sir, ale też nie chciał korzystać z otwierającej się świetnej karjery. Nie wrócił jednak do nauki, której poświęcał się przed wojną. Przywiązał się do wschodu i do niebezpieczeństwa. Zrzekł się stopnia pułkownika i przerzucił się do lotnictwa i tanków, rozpoczynając służbę od prostego żołnierza. Jak trafnie przypuszcza jego biograf, wie o tem, że gdyby osiadł w Anglji, np. w Oxfordzie, gdzie pracował przed wojną, nie zaznałby tam spokoju, gdyby zaś pozostał w armji, byłby skazany na podawanie dalej rozkazów, którychby najczęściej nie uważał za rozsądne. Tym sposobem człowiek, co stworzył trzy królestwa, wolał być szeregowcem.

Jako szeregowca uwiecznił go Bernard Shaw — nawiasem mówiąc imiennik, gdyż Lawrence wstąpił do nowej służby jako T. E. Shaw — w sztuce „Zbyt prawdziwe, aby było dobre". W chwili niebezpieczeństwa nadęty szkocki pułkownik, w gruncie rzeczy bardziej interesujący się malarstwem, niż armją, traci głowę, a sytuację ratuje tajemniczy żołnierz, który oddawna przygotował wszystko na wypadek ataku dzikich.

W czasie swego braterstwa broni z Arabami Lawrence przywiązał się do nich. W ostatnich czasach przypomniał się enuncjacją, obiecującą im zmianę polityki angielskiej na niekorzyść protegowanych dotychczas Żydów. Wystąpienie nie miało charakteru urzędowego, a jednak nastąpiły po niem rzeczywiście posunięcia, które nieco poprawiły położenie Arabów palestyńskich. Nasuwa się nawet przypuszczenie, iż Lawrence był upoważniony do swego manifestu.

Kampanję w Hedżasie i Syrji opisał sam jej główny bohater w dwóch książkach, zatytułowanych „Siedm filarów mądrości" i „Powstanie na pustyni". Druga stanowi popularne streszczenie pierwszej. Obie odznaczają się dużemi zaletami literackiemi, są jednak tylko opisem wypadków, opartym na notatkach autora.

Wyszło już o Lawrensie parę książek, lecz żadna z nich nie odznaczała się gruntownością, ani ścisłością. — Można to powiedzieć dopiero o wydanym niedawno życiorysie przez kpt. Liddella Harta (T. E. Lawrence, London, Cape, 1934).

Dowiadujemy się, że bohater pustyni przyszedł na świat w Walji jako syn Angloirlandczyka i szkockiej kalwinki. Niezamożni rodzice nie mogli zdobyć się na wysłanie chłopca, objawiającego nieprzeciętne zdolności i zapał do nauki, do żadnej ze znanych szkół średnich. Uczył się jednak w domu z tak dobrym skutkiem, że uzyskał przyjęcie do Jesus College w Oxfordzie. — Prowadził tam życie ciche i odosobnione, pochłaniając masę książek. Studjował języki wschodnie, archeologję, średniowieczną sztukę i architekturę. Stopień naukowy uzyskał za rozprawę o uzbrojeniu krzyżowców. Wczytywał się również w dzieła strategiczne. — Lidell Hart sądzi, iż opanował sztukę wojenną gruntowniej od jenerałów. Oni lepiej znali maszynę, jaka stanowi armia, jej kółka i transmisje, ale pozatem ustępowali we wszystkiem temu amatorowi.

Pierwszy rok wojny spędził Lawrence w Oxfordzie, przygotowując sprawozdanie z wyprawy naukowej na półwysep Synaj. Wysłany później jako wojskowy do Karkemysz, potem do Egiptu, dostał się do *Intelligence Departament* (wywiadu) w Kairze. Pełnił z wielką sumiennością pracę biurową, lecz marzył ustawicznie o czynnej służbie. Pragnienia spełniły się po roku, gdy oddano Lawrence'owi funkcje oficera łącznikowego między armją angielską, a powstańcami arabskimi, walczącymi z Turcją. Resztę już wiemy. Trzeba tylko zaznaczyć, że Lawrence równie znakomity dyplomata, jak strategik, nigdy nie żądał oficjalnego dowództwa. Wolał doradzać, niż rozkazywać. I ten fakt może przyczynić się do zrozumienia jego późniejszej skromności.

Osbistość Lawrence'a wywiera pewna fascynację na młode pokolenie angielskie, które zdaje sobie sprawę z rozkładu parlamentaryzmu i obserwuje bacznie takie ruchy obce, jak faszyzm lub hitleryzm. „Słyszałem", mówi kpt. Hart, „że młodzież o nim mówi, młodzi poeci śpiewają o nim mesjanicznym tonem, jako o człowieku, który zdołałby, gdyby zechciał, wywieść potykającą się ludzkość z jej kłopotów".

Wątpić jednak należy, abyśmy niezadługo zobaczyli Lawrence'a na czele jakiejś nowej formacji faszystowskiej w Anglji. Rączej odegra on jeszcze wybitną rolę na wschodzie w razie, gdyby przyszły tam zamieszki lub wojna.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Wielkie postacie historyczne

w rzeczywistości a w sztuce

Mijają miesiące, a w prasie wciąż jeszcze nie milkną odgłosy burzy, rozpętanej przez dr. Olgierda Górkę w jego studjach „rewizjonistycznych", dotyczących twórczości Henryka Sienkiewicza, jako powieściopisarza historycznego, — w szczególności zaś uderzających w „Ogniem i mieczem", jako w to dzieło, które w najsilniejszym stopniu z pośród wszystkich utworów wielkiego pisarza grzeszy — według dr. Górki — fałszywą interpretacją i fałszywem naświetleniem dziejów.

W sprawie fałszowania prawdy dziejowej przez Sienkiewicza, rozprawiają się z dr. Górką historycy, na tem zaś miejscu spróbujemy — zdala od sporów czysto naukowych — historycznych, sporów fachowych — dowieść zapomocą przykładów, czerpanych z dziejów wszystkich ludów i wszystkich czasów, — że gdyby Sienkiewicz fałszował historję naprawdę i gdyby ją fałszował w stopniu stokroć silniejszym, niż mu zarzuca to dr. Górka — jeszczeby to w niczem nie zmniejszyło wartości autora „Trylogji", jako jednego z najznakomitszych w dziejach literatury świata — powieściopisarzy historycznych,. właśnie historycznych...

Cicha walka między fachowymi, seminaryjnymi historykami, dla których przeszłość jest sumą wiadomości, zaczerpniętych z niezliczonej ilości źródeł i dokumentów.,. wiadomości, których jedynem przeznaczeniem jest ulegać dziesięciokrotnym analizom i rozbiorom przy pomocy dziesięciu czy stu metod, — a między artystami, rozmiłowanymi w przeszłości, jako w czemś żywem, bliskiem, ukochanem i tętniącem prawdą.,. w przeszłości, która staje się podstawą ich twórczości, źródłem natchnienia, mocą zapładniającą wyobraźnię — walka ta toczy się nie od dziś. I nie dr. Górka jest pierwszym historykiem, który w imię tzw. „objektywnej prawdy naukowej" rozrywa na sobie szaty i z oburzeniem rzuca „anathemę" na wielkiego artystę, jakoże pewne przedstawione przez niego fakty w utworze literackim — a więc w dziele sztuki, w dziele wyobraźni — nie pokrywają się ze źródłami!,.. Póki świata, póki kultury póty będą historycy w imię „objektywnej prawdy", którą tylko oni posiedli przy pomocy studjów nad dyplomatyką, numizmatyką, paleografją, hagjografją, shagistyką i statystyką — odmawiać prawa artystom przemawiać głosem wskrzeszonej przez nich przeszłości, — a jednocześnie nigdy nie przestaną rozkochani w uroku przeszłości artyści wyrzucać mężom nauki, że choć tyle wiedzy posiadli, tyle mieli możliwości i warunków — nie potrafili czy nie chcieli poznawanej przez siebie przeszłości ożywić, uczynić z martwej litery, z wyżółkłego pergaminu, z suchej kroniki — tętniącą wszystkiemi pulsami, barwami i tonami upajającej i wstrząsającej, bawiącej i pouczającej, wzruszającej i porywającej opowieści o życiu — nie pergaminów i palimpsestów — ale ludzi,.. ludzi takich samych, jak my, tak samo cierpiących walczących i kochających, — ale cierpiących, walczących i kachających w innych warunkach, w innej atmosferze — a przez to jeszcze bardziej podniecających naszą wyobraźnię nasze zainteresowanie.

Sensem i celem dzieła sztuki, poruszającego tematy historyczne, jest:

1) przekonać siłą sugestji artystycznej czytelnika czy słuchacza, że ludzie we wszystkich epokach zawsze jednako są ludźmi, — ale zarazem podkreślić, że

2) w innych epokach ci ludzie, tacy sami, co my dzisiaj, są przecież inni pod wpływem otaczających ich warunków: stopnia cywilizacji, rozwoju duchowego i t. d. i t. d.

Dzieło sztuki na tematy historyczne, np. powieść historyczna nie zasługuje na miano dzieła sztuki, jeżeli nie potrafi spełnić pierwszego warunku — staje się wyłącznie pseudo-historyczną kostjumową tandetą literacką; jeżeli zaś nie spełnia drugiego postulatu — nie jest powieścią czy dramatem historycznym.

Powieściopisarz historyczny powinien w swem dziele stworzyć żywych, prawdziwych ludzi, a jednocześnie powinien wytworzyć atmosferę, zgodną z duchem epoki, jaka go interesuje. Sienkiewicz odtworzył ducha epoki wojen kozackich i szwedzkich, jak żaden historyk nie potrafił tego uczynić — twórczość więc jego to najwyższej klasy beletrystyka historyczna. To że Wiśniowiecki nie był taki, jak w „Ogniem i mieczem", ale zupełnie inny, w niczem nie zmienia atmosfery siedemnastowiecza, którą przepojona jest postać Wiśniowieckiego i która ją otacza: gorzejby było, gdyby Wiśniowiecki przemawiał po francusku, nosił włoskie stroje w stylu dworu Zygmunta Augusta lub popierał na tron polski Augusta Sasa. Powieściopisarzowi historycznemu nie wolno popełniać błędów historycznych, któreby osłabiały siłę sugestji twórczej, przy której pomocy autor przekonywa czytelnika o prawdziwości odtwarzanej przez siebie atmosfery ducha epoki. tak np. mamy zaufanie do Sienkiewicza, gdy w „Potopie" opowiada nam, że Janusz Radziwiłł był to starszy, poważny człowiek, żonaty i miał córkę — Bogusław zaś w epoce najazdu szwedzkiego — to młody jeszcze kobieciarz i kawaler — trudno nam natomiast wierzyć Henrykowi Rzewuskiemu, w którego „Rycerzu Lizdejce" Janusz jest młody, a Bogusław — to poważna głowa rodziny. Całkiem zaś tracimy ochotę do patrzenia na przeszłość oczyma pisarza, gdy pisarz ten, jak Czekalski w powieści „Barbara Radziwiłłówna, każe królowej (polskiej! w XVI. wieku!!) krzyczeć na dworzan:

— Stop!...

Tego rodzaju błędy historyczne dyskwalifikują pisarza. Jeżeli jednak odtwarza on należycie ducha dawnej epoki (do odtworzenia ducha epoki należy też wiedzieć, że Pompejusz, Cezar, Cicero, Katylina i Krassus nie zbierali się w młodości na wspólne obrady i nie zgadywali, kto kim będzie w przyszłości, — jak również i to, by nie pomieszać Don Carlosa syna Filipa II. hiszpańskiego, z don Carlosem — pretedantem do tronu w wieku XIX.), reszta — to jego dobra wola!.. I jeżeli napisze taki pisarz, że w noc wigilijną miał król ten a ten sen, w którym widział siebie pustelnikiem — to choćby stu historyków na podstawie najpewniejszych dokumentów dowodziło, że to nieprawda, że w tę noc król wcale nie spał, bo się przejadł i miał bóle żołądkowe — w niczem fakt ten nie umniejsza historycznej wartości danej powieści historycznej, w niczem bowiem nie wypacza prawdziwego obrazu omawianej epoki.

I rzecz znamienna: poza małemi wyjątkami (Juljusz Cezar, Aleksander Macedoński, Kolumb, Napoleon, u nas Bolesław Chrobry czy Kazimierz Wielki) pamięć o wszelkich postaciach historycznych żyje w umysłach i sercach taka, jaką narzucili nie historycy, ale artyści!... Cóż z tego, że Wiśniowiecki był inny: któż z nas zapomni jego walki z samym sobą pod krzyżem lub uczty w Zbarażu przed szturmem?.. I zapytajcie inteligentniejszego, oczytanego chłopaka, jakim był Ryszard Lwie Serce?... Czy tym zabijaką, warchołem, lekkomyślnym i kłótliwym awanturnikiem, jakiego zna historja? Nie — dla niego Ryszard — to wspaniały rycerski bohater powieści Walter Scota. A Joanna d'Arc?... A Marja Stuart?... — odpowiedzą wam tak, jak ich nauczył Schiller. W rzeczywistości historycznej Petronjusz, Dunkan i Makbet szkoccy, Otello, Cyd, Wallenstein, wspomniana już Marja Stuart, książę Józef, Sułkowski, Robespierre, Tallien — byli zupełnie inni, niż ich przedstawiają Sienkiewicz, Szekspir, Corneille, Schiller, Żeromski czy Aldanow — lecz to, że historycy mogą się poszczycić, iż w pamięci miljonów żyją żywem życiem te imiona — to zasługa wielkich artystów. I nic nie pomogą „rewelacje" i „odbronzowiania; — żyć bowiem i nadal będą w tej postaci, w jakiej ich stworzył genjusz i sztuka artysty. Wiemy, że istnieli Colbert, Fouquet i Cyrano de Bergerac: wiemy, że to Colbert był porządnym człowiekiem, a Foucquet szują — a jednak, gdy myślimy o nich, w pamięci naszej powstają odwrotności, stworzone przez Dumasa - ojca. A Cyrano? Nic nie pomogą monografje i biografje: na zawsze zostanie dzielny, czuły, sentymentalny i dowcipny, a subtelny właściciel ogromnego nosa zostanie mit, stworzony i unieśmiertelniony przez Rostanda!

TEODOR PARNICKI

Ze świata książki

Joseph Conrad (Korzeniowski) „Ze wspomnień". Tłumaczyła z angielskiego Aniela Zagórska) (Wydawn. „Dom Książki polskiej", Warszawa). Fascynująca książka dla smakoszów słowa, a rewelacyjną dla coraz liczniejszych miłośników twórczości Conrada-Korzeniowskiego jest świeżo wydany nowy tom jego dział pt. „Ze wspamnień". W dwóch, niezmiernie ciekawych przedmowach autora do tej książki jest również wiele materjału biograficznego.

„Ze wspomnień" zaczyna się opowieścią, w jaki sposób powstał rękopis „Szaleństwa Almayera", — pierwszej pracy pisarskiej, który jeździł z autorem aż do Polski, zanim Conrad pomyślał o druku. Drugą dominującą nutą tej książki są wspomnienia o tem, w jaki sposób Józef Korzeniowski został marynarzem, kapitanem handlowej floty brytyjskiej. A więc jak powstał pisarz i marynarz, dowiedział się świat z własnej książki Conrada. I dowiedział się również, że tak jak nie chciał Conrad jeździć na parowcach — rozmiłowany w okrętach żaglowych, tak niedowierzał wartości swego słowa. „Dajcie mi właściwe słowo i właściwy ton, a świat z miejsca poruszę". Oto tęsknota do potęgi słowa, przenikająca całe jestestwo pisarza. „Ze wspomnień" jest 15-tym tomem pism zbiorowych Conrada. Dotychczas ukazało się w przekładzie polskim 20 tomów, pozostało jeszcze do wydania 16 tomów, które ukażą się w ciągu kilku lat.



Harold Lloyd uczy się czytać po chińsku. Nauczycielką jego jest sympatyczna gwiazda chińska

„Świat i życie", zeszyt IV, tomu drugiego (wyd. „Książnica — Atlas, Lwów — Warszawa). Najważniejszym i największym artykułem tego zeszytu jest art. „Francja" (prof. dr. St. Pawłowski i J. Stempkowski), w którym nakreślony jest szeroki obraz geografji historji i kultury Francji. W zeszycie niniejszym bardzo bogato reprezentowana jest również przyroda i technika. Otwiera ten dział ciekawy artykuł prof. dr. St. Ziemeckiego pt. „Fotoelektryczność", w którym autor mówi o niedawno odkrytem zjawisku fotoelektrycznem i o szerokiem zastosowaniu „oka elektrycznego", jakiem jest komórka fotoelektryczna.

W art. „Fotografja" inż. W. Romer omawia szeroko podstawy naukowe zjawiska fotografji, dr. T. Jaczowski w jasny i przejrzysty sposób wyjaśnia pojęcie „Gatunku w naukach biologicznych", dr. Piotr Słonimski opisuje najróżniejsze „Gady" żyjące obecnie u nas i na całym świecie, zaś prof. dr. Jan Lewiński zaznajamia czytelnika z gadami — potworami przedhistorycznemi, o których mówią nam już tylko kamienie i wykopaliska.

W zeszycie tym znajdą również czytelnicy jasny i popularny wykład o tak zawiłem zagadnieniu, jakiem są „Funkcje" czytelnicy wreszcie, którzy interesują się zagadnieniami wojskowemi, znajdą tu i dla siebie materjał interesujący: kpt. K. Biesiekierski pisze tu mianowicie o „Fortyfikacjach" pułkownik zaś Tadeusz Różycki o tak aktualnem zagadnieniu, ja, „Gazy bojowe."

Liczne i starannie dobrane ilustracje uzupełniają ten ciekawy numer.

—o—



Carole Lombard należy do najpopularniejszych artystek filmowych w całej Ameryce. A to przedewszystkiem dzięki sprytnej i wszechstronnej reklamie — podobiznę tej, ładnej naprawdę kobiety ujrzeć można na rozmaitych... mydełkach kremach, pastach, nawet ziółkach i pigułkach.

Carole Lombard (prawdziwe nazwisko Jane Peters) jest rozwódką. Liczy sobie obecnie 25 lat.

Symbioza (mutualizm) w przyrodzie

Symbioza, czyli mutualizm, jest jednym z licznych i ciekawych zjawisk, jakie obserwować możemy w przyrodzie. Przedewszystkiem określimy sobie co to jest symbioza; Symbioza opiera się na współżyciu dwu lub więcej organizmów, celem wspólnego czerpania korzyści, wynikających z niej dla ustrojów ze sobą związanych, oraz celem przystosowania się doskonałego organizmów do warunków życiowych. Jako zjawisko przyrodnicze, niewątpliwie przechodziła symbioza cały szereg etapów swego rozwoju i drogą ewolucji doszła do takiego stanu, w jakim obecnie się przedstawia.

Geneza powstania symbjozy tkwi w prawie zachowania gatunku, oraz w doborze naturalnym i bezprzecznie w zaraniu swego istnienia była ona zjawiskiem przypadkowem i czasowem tj. nie dającem się kierować żadnemi z góry określonemi prawami. Łączenie się dwóch organizmów było początkowo krótkotrwałe i czasowe, bez widocznych korzyści dla tych organizmów, czy też z małemi korzyściami tylko dla jednego z organizmów. Z czasem symbjoza stała się trwalszą i dłuższą, w czem wielką rolę odgrywał dobór naturalny, który utrwalał ją i potęgował do tego stopnia, że stała się ona koniecznością życiową związanych ze sobą organizmów, tak, że wkońcu rozwinęły się pewne właściwości, polegające na wspólnem wyświadczaniu sobie usług związanych ze sobą organizmów.

Obecnie przedstawimy kilka przykładów symbiozy, zachodzących w świecie organicznym. Klasycznym przykładem współżycia dwu organizmów, jest symbioza skorupiaka morskiego Pagarus Bernhardus (zwanego też pustelnikiem Bernarda) z ukwiałem Adamsia palliata. Skorupiak ten wyglądem przypominający naszego raka rzecznego, osiedla się w próżnej muszli mięczaka, chowając w niej cały odwłok, a wystawiając tylko głowę wraz potężnemi kleszczami. W miarę wzrostu, porzuca małe muszelki a wyszukuje większe. Muszla odgrywa tu rolę pancerza, ponieważ skorupiak ten, w przeciwieństwie do innych zwierząt swego gatunku posiada twardą skorupę chitynową tylko na głowie, odnóżach głowowych, tułowiowych, kleszczach i tułowiu, podczas gdy odwłok zbudowany jest ze skóry miękkiej.

Nie na tem koniec, na muszli w której żyje skorupiak, przytwierdzony jest ukwiał (Adamsia palliata), zwierzę zbudowane z substancji galaretowatej, barwy jasno pomarańczowej, z czerwonemi plamkami, należące do typu jamochłonów. Ukwiał ten podstawą swą przytwierdza się do powierzchni muszli, obejmując z góry i boków otwór muszlowy, przez który wychyla się głowa skorupiaka. Otwór ustny ukwiału otoczony licznemi czułkami, zwrócony jest ku głowie pustelnika Bernarda. W ten sposób połączone oba te organizmy, związane są ze sobą na całe życie.

Korzyść z tego połączenia jest następująca: Ukwiał należy do zwierząt, które żyją przytwierdzone do podłoża i nie mają możności poruszania się z miejsca na miejsce, co w wielkiej mierze utrudnia im zdobywanie pokarmu. Dzięki umieszczeniu się na muszli zamieszkałej przez skorupiaka, ukwiał zostaje przenoszony z miejsca na miejsce, co więcej, — Pagarus w poszukiwaniu pokarmu rozrzuca nogami muł i piasek na dnie morskim, wywołując przy tem wir wody, dzięki czemu ukwiał chwytać może czułkami liczne drobne zwierzęta, służące mu za pokarm.

Korzyść jaką osiąga Adamsia jest aż nadto widoczna; nie gorzej wychodzi na tej spółce skorupiak. Adamsia palliata ma w swem ciele liczne utwory nitkowate tzw acontia, które może wysuwać na zewnątrz przez specjalne otwory w skórze. Acontia zaopatrzone są na końcu pęcherzykami, zawierającemi ostrą ciecz. Pęcherzyki te zwane parzydełkami, opatrzone są włoskiem, mogą być wyrzucane na zewnątrz i w zetknięciu się z jakimś zwierzęciem, parzą je, a nawet zabijają. Są one doskonałą bronią przeciwko innym zwierzętom, które je skrzętnie omijają. Korzyść stąd dla pustelnika ta, że nie potrzebuje się on obawiać innych zwierząt i może bezkarnie prowadzić swój żywot. Jak ścisłą jest symbioza obu tych zwierząt, świadczy następujące doświadczenie wykonane w stacji zoologicznej w Neapolu. Do akwarjum w którem znajdował się pustelnik z przyczepionym do swej muszli ukwiałem, włożono próżną muszlę, następnie wyjęto skorupiaka z muszli, którą wypchano skrawkami płótna. Pagarus próbował wejść z powrotem do muszli na której był przytwierdzony ukwiał, co się mu nie udało, próbował wyjąć z muszli płótno, również bez skutku. Po wielu daremnych trudach wyszukał Pagarus inną próżną muszlę, na której nie było ukwiału, powrócił wobec tego do starej muszli, przy pomocy kleszczy ściągnął jamochłona i przeniósł go na nową muszlę. Doświadczenie to wielokrotnie powtarzane, zawsze kończyło się takim samym skutkiem.

Wśród ukwiałów mamy cały szereg przykładów symbiozy, bo zwierzęta te są specjalnie skłonne do zawierania spółki życiowej z innemi zwierzętami. Do ciekawych przykładów należy np. symbioza ukwiału z rodzaju Bunodes (z okolic Batawji), z niektóremi gatunkami małych rybek z rodzaju Trachichtys Shaw. Ukwiał ten opatrzony jest licznemi czułkami dochodzącemi do długości 2 cm., pośród których pływają całkiem bezkarnie małe rybki, pięknie ubarwione. Biolog Sluiter wykonał następujące doświadczenie z temi zwierzętami: do akwarjum włożył rybki z rodz. Trachichtys i większe tarłoczne, po krótkim czasie małe rybki zostały pożarte przez te większe, gdy natomiast Sluiter umieścił w akwarjum drobne rybki wraz z ukwiałem, oraz większe drapieżniki, małe rybki były zupełnie bezpieczne i niegroziło im żadne niebezpieczeństwo ze strony drapieżnych ryb, bo znalazły schronienie między czułkami ukwiału. Korzyść dla rybek widoczna, również i ukwiał dobrze na tej spółce wychodzi, bo rybki znachodzą pokarm, który przyciągają do ukwiału, gdzie gdy pokarm znajdzie się pomiędzy czułkami rozrywają go na drobne części i zjadają wspólnie z ukwiałem. Jak silną jest ta spółka, dowodzi fakt, że prawie zawsze przy wyjmowaniu z wody ukwiału, rybki dają się złowić razem z nim, bojąc się go opuścić.

Również bardzo ciekawe są przykłady mutualizmu pomiędzy zwierzętami a roślinami, jak np. spotykane w krajach podzwrotnikowych współżycie pewnych roślin z mrówkami. Symbioza ta opiera się na tem, że mrówki (we wszystkich prawie wypadkach) znajdują na roślinie schronienie, a czasem i pożywienie, w zamian za co bronią roślinę przed szkodnikami owadami, zjadając je. Zdarza się często, że roślina przystosowuje swoją budowę do takiego współżycia. Symbioza pomiędzy mrówkami i roślinami, zbadaną została przez takich przyrodników jak Schimper, Wettstein, Treub i in.

Typowym przykładem współżycia zwierząt z roślinami, jest roślina Cecropia peltata, żyjąca w Ameryce południowej. Łodyga tej rośliny jest szeroka, wewnątrz pusta i podzielona na szereg komór, ułożonych jedna nad drugą. Jeżeli rozkroimy taką łodygę wzdłuż to zobaczymy w każdej komorze gniazdo mrówcze. Roślina ta przedstawia się więc, jak duży mieszkalny dom o wielu piętrach, zamieszkiwany w tym wypadku przez mrówki. Ponieważ ściany łodygi są wcale grube i twarde, nasuwa się pytanie w jaki sposób mrówki dostają się do wnętrza łodygi?

Po bliższem zbadaniu rośliny, zobaczymy, że budowa jej jest niejako przystosowana do współżycia z mrówkami. Otóż u nasady każdego ogonka liściowego widnieje na powierzchni łodygi podłużny rowek, biegnący w kierunku pionowym i kończący się u dołu małym wpukleniem do środka łodygi. Zagłębienie to znajduje się u nasady odpowiedniej przegrody komory, w miejscu zagłębienia ścianka łodygi jest bardzo cienka, i może być z łatwością przegryziona przez mrówki. Samica mrówki przegryza cienką ściankę i dostaje się do wnętrza komory, gdzie składa jaja, z których następnie wylęgają się mrówki. W ten sposób zostaje Cecropia zamieszkaną przez mrówki, które biegając po całej roślinie, bronią ją przed gąsienicami, muszcami itp. Mrówki więc spełniają niejako rolę straży, która broni roślinę przed różnemi owadami. Oprócz wspólnych wymienionych korzyści, Cecropia dostarcza mrówkom dużo pokarmu białkowego i tłuszczowego, z tzw. „ciałek Müllera“, przez mrówki szczególnie lubianych.

Symbioza pomiędzy mrówkami a roślinami jest bardzo rozpowszechniona i trafia się też w naszym klimacie bardzo często. Zjawisko to nosi nazwę myrmekofilji (mrówkolubstwa). Typowym przykładem myrmekofilji w naszej florze stanowi roślina Melampyrum (pszeniec). Liście pszeńca wyposażone są w gruczołki, wydzielające słodką ciecz, bardzo lubianą i poszukiwaną przez mrówki. I tu powtarza się podobna historja jaką obserwowaliśmy u Cekropii, z tą różnicą, że tu mrówki pośredniczą jeszcze w rozsiewaniu rośliny. Dzieje się to w ten sposób, że nasiona Melampyrum podobne są z wyglądu do poczwarek mrówczych, a mrówki złudzone wyglądem nasion, zanoszą je do mrowisk, przyczyniając się w ten sposób do rozsiewania.

Poza tem mamy cały szereg przykładów mutualizmu w świecie organicznym np. u wielu niższych zwierząt jak pierwotniaki, wymoczki, które żyją w symbjozie z zielonemi roślinami, należącemi do wodorostów (glonów). Badania Geddesa, Entza i Brandta, wykazały jakie korzyści czerpią te organizmy ze współżycia ze sobą. Szczególnie Brandt wykazał między innemi, że wodorosty przebywające w ciele promieniowców, asymilują węgiel z powietrza, dzięki cienkiej powłoce zwierzęcia, przez którą odbywać się może wymiana gazów. Produkt asymilacji — skrobia gromadząc się w nadmiarze w wodorostach zostaje przez nie wydalona na zewnątrz i przenika do ciała promieniowca, gdzie jako pokarm zostaje strawiona. Z drugiej strony wodorosty czerpią w zamian za skrobię dwutlenek węgla (CO_2), który zostaje wydalony z promieniowca jako produkt wynikły z oddychania, a który potrzebny jest wodorostom do procesu asymilacji. W ten sposób organizmy te się uzupełniają. Poza tem wodorosty nadają zwierzętom, z któremi żyją w symbiozie, kolor zielony, dzięki zawartym w sobie ciałkom chlorofilu, co w znacznej mierze przyczynia się do ochrony tych zwierząt w wodzie. (Do takich zwierząt należą, np. Hydra viridis, Vortex viridis i in.).

Również pomiędzy roślinami samymi spotykamy liczne przykłady mutualizmu jak np. pomiędzy roślinami zielonemi a roślinami pozbawionemi ciałek zieleni np. między glonami i grzybami. Taką spółkę życiową stanowią porosty (Lichenes) z grzybami należącemi do workowców (Ascomycetes) i jednokomórkowemi zielonemi glonemi. Korzyści wynikające z tej spółki, są podobne do korzyści jakie wynikają ze symbiozy promieniowców a wodorostami. Grzyby jako rośliny pozbawione ciałek zieleni (chlorofilu), nie mogą asymilować tj. wytwarzać skrobji w swoim organiźmie, lecz muszą pobierać pokarm organiczny gotowy. Dzięki symbiozie z porostami, które składają się z nici grzybnych poplątanych ze sobą, pomiędzy któremi znajdują się glony, zawierające ciałka zieleni, grzyby pobierają nadmiar materji organicznej wyprodukowanej przez glony, w zamian dając im wodę i sole mineralne wyciągane przez strzępki grzyba z podłoża.

Symbioza grzyba z porostami, jasno wykazuje jak wielką rolę odgrywa ona w przyrodzie, stając się poważnym czynnikiem zachowania gatunku. Dzięki bowiem niej, może się życie utrzymać nawet w takich warunkach, które nie wykazują nawet minimum warunków potrzebnych do egzystencji. (Znane są przykłady, gdzie na miejscach pozbawionych wody jak np. skałach, porosty prowadzą wcale dobrą egzystencję).

Możnaby jeszcze przedstawić niezliczoną ilość przykładów symbiozy w przyrodzie, jak np. wśród roślin motylkowych z bakterjami, czy też wśród wyżej postawionych organizmów, sądzę jednak, że przykłady tu podane wystarczą do wyrobienia sobie pojęcia o wielkiej i mądrej różnorodności zjawisk zachodzących w przyrodzie.

Tadeusz Kwaśniewski.

Ciekawostki ze świata

Pewny szlem — niezrobiony

Amatorowie bridża znają zapewne anegdotę o owym graczu, który tak sztucznie umiał rozdawać karty, że dał sobie 13 kart z jednego koloru i zapowiedział wielkiego szlema. Następnym rzem jednak już go nie zrobił, bo go przedtem wyrzucono za drzwi. Wedle gazet amerykańskich coś podobnego zaszło rzeczywiście w Kalifornji, tylko z poważniejszym skutkiem, ponieważ rzecz działa się między tamtejszymi hodowcami bydła, znanymi z temperamentu. Jeden z graczy miał 13 kierów i zapowiedział wielkiego szlema w tym kolorze, ale zrobił tylko jedną lewę. Partner go zastrzelił.

Śmiertelna kuracja odtłuszczająca

19-letnia artystka kabaretowa z Londynu, Miss Vivian Bates Philox zaniepokoiła się o swoją figurę i poszła do lekarza, który przepisał łaźnię parową, masaż i tabletki środka zwanego dekryzyl. Działa on zabójczo na wątrobę, stąd można go używać tylko bardzo umiarkowanie. Rzeczywiście doktor zalecił tylko niewielką ilość tabletek. Lecz Miss Philcox tak gorąco pragnęła schudnąć, że przekroczyła dozwoloną ilość. Po paru tygodniach poczuła się tak źle, że udała się do sanatorjum. Niestety pomoc lekarska była spóźniona i ofiara kuracji odtłuszczającej umarła. Sprawa była przedmiotem rozprawy sądowej, ale sędzia uznał po przesłuchaniu wszystkich świadków, że winną była sama ofiara, ponieważ lekarz przepisał małą ilość tabletek, aptekarz ostrzegał przed ich zażywaniem bez porady lekarskiej, a fabrykanci dekryzylu umieścili na flaszeczkach podobne ostrzeżenie.

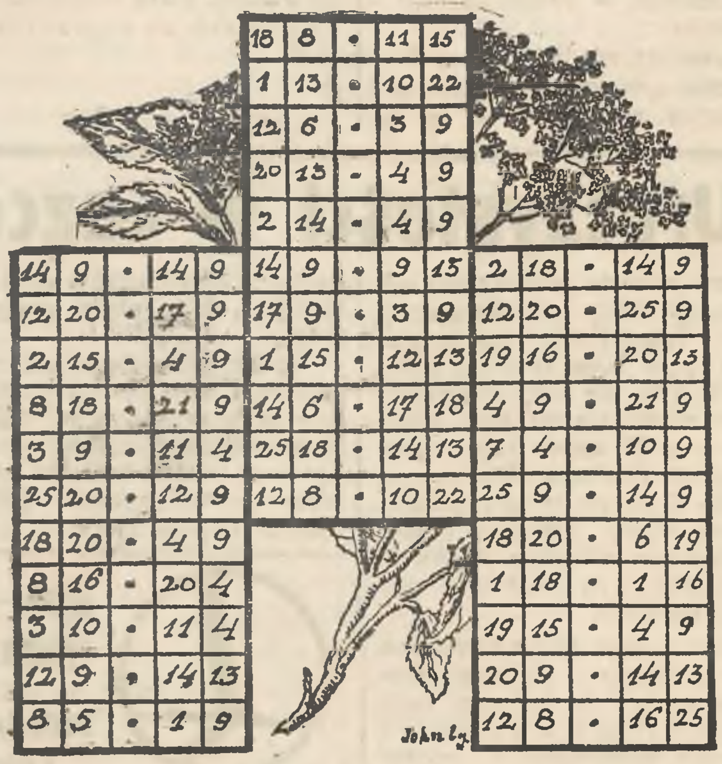
Z łóżkiem po wygraną

W Tortonie zgłosił się do biura włoskiej loterji państwowej pewien robotnik dla zainkasowania skromnej wygranej wynoszącej 156 lirów. Pod pachą niósł deskę z łóżka, do której przylepił bilet z kolektury z numerami. Nie miał w domu bezpiecznego schowka i bał się, że ktoś mu ukradnie karteczkę, do której przywiązywał wielkie nadzieje, więc tak sumiennie przykleił ją do łóżka, iż wygrawszy, nie mógł odkleić, musiał więc łóżko rozebrać i zabrać deskę. 156 lirów wypłacono mu bez trudności.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Potrójny arytmograf

(Ułożył „John Ly")



Liczby i kropki proszę zastąpić literami tak, by w każdym prostokącie powstało po 11 wyrazów 5-cioliterowych. Określenia poszczególnych wyrazów są wszystkim 3 prostokątom wspólne, lecz odmienne ich rozwiązania. Litery w kratkach z kropkami dadzą aktualne rozwiązanie (3 zdania.)

Określenie wyrazów: 1) Ptak, 2) Gleba. 3) Objawy psychiczne. 4) Kraj w Europie. 5) Rzeka w Polsce. 6) Zmyślenie. 7) Tłuszcz (3-ci wyraz łaciński). 8) Narzędzia rolniczo-ogrodnicze. 9) Miasto w Polsce. 10) Zespoły drzew (zdrobniale). 11) Roślina jadalna.

• • •

Szarady przedwiosenne

(Ułożył „John Ly")

1.

Ośm-dwa do Zimy Nimfy płoche:
— Zechciej nam pofolgować trochę,
aby nas **Szósty** wieść mógł w gąszcze..
Zima straciła groźne **drugie**,
już tak nie szarpie i nie kąsze.
Już noce nie są takie długie
i już na wodach lód nie stoi,
że można w **ósmej-siódmej** poić
bydło..
A bieda skwirczy **pięć** wsi..
Oj! Biednaż **czwarta-trzecia**, biednaż!
Przednowku niczem nie przejednasz!
Głodnej biedoty coraz gęściej!
Co dać jej? Chyba **ósmą-pierwszą**
odjąć chudobie — niech się cieszą..
Wszystko jest **siódme-trzecie-piąte**
w przyrodzie.. Więc te chude skąpe
dni przednówkowe snać są na to,
aby tem sytsze było lato.

2.

Na ziemi teraz szaro, **dwa-sześć**,
bo ani biało, ni zielono..
Więc rade biegnie oko nasze
Ku **czwór-drugiemu**, skąd w spragnioną
ziemię ma spłynąć ciepła strumień.
Całe **pięć-szóste-trzecie-czwarte**
jakgdyby w półśnie, czy w zadumie
półsennej — o okiem półotwartem
ostatni sen zimowy marzy..
A tu już czujna gęśl pieśniarzy
przydzwania piękne **pierwsza-siódme**,
w czar blasków, woni, barw spowite —
na powitanie Wiosny cudnej,
gdy przyjdzie **całe**... całkowite.

Depesza

(Ułożyła „Arja")

> **R. Mond — Przeworsk**
> **Mów!**
> **Ita.**

Tekst tej depeszy po przestawieniu liter da imię z nazwiskiem oraz tytuł dzieła znakomitego naszego męża stanu i publicysty.

• • •

Przestawianki

(ułożył „Ski")

Przestawiając w wyrazach pod 1) pierwszą i ostatnią literę otrzymamy nowe wyrazy o znaczeniu podanem pod 2).

I.

1) Ryba tłusta, smakowita
2) wiosną cały się rozkwita.

II.

1) To nazwisko myśliciela
2) w nim załoga skryta strzela.

III.

1) Myśliwy go skrzętnie szuka
2) imię męskie. — zgadnąć sztuka!

• • •

Z cyklu szarad i konikówek

(ułożyła Hel. Mokrzycka, Drohobycz)

Pierwsza-drugo nasza spojrzyj na swe dzieci!
Ochraniaj gniazd naszych, ratuj nasze domy!
Weź pod swoje skrzydła kiedy biją gromy..
Niech gwiazda nadziei w zwątpieniu nam świeci!
Zwróć myśli nasze wspak-raz, gdzie Bóg przebywa!
Do źródła radości, pokoju swobody,
Gdzie niema sobkostwa, zawiści, niezgody..
Skąd wszelakie piękno i dobro wypływa.
Jak **drugi i piąty** tkwi w ścianie głęboko..
Tak dobre zasady niech padną na głębie,
Daj umysł szeroki, a serce głębokie:
Daj podnieść Twój sztandar wysoko! wysoko!
Matuchno **Trzech-Czwartych-piątych** słodkich ptaszków
Sługa twój J. Ejsmond zowie Ciebie **Cała**,
Boś Ty te ptaszyny zwinne ukochała.
Miłych lokatorów naszych chat i daszków

Konikówka

		PTA		
	PIE	SPRAW	BI	
	KO	CIĘ	KI	
ŚNIA	KO	LI	BY	WJEL
	ŚMY	JA	STAD	
	NE	ZA	CA	
	WRA	STRU	GDY	
DZO	Z	SZLA	MÓRZ	ICH
SKIC	IM	MAT	RA	KI
JA	KTÓ	ZU	NIE	ŁEK
JESZ	BIE	SKÓ	KO	WSKA

Szarada

(Ułożył „John Ly")

W żywota naszej księdze
co **drugi-pierwszy** — to smutniejszy,
bo niesie zawód, ból i nędzę..
Toż tęskni człek dzisiejszy,
do cię, o **druga-trzecia-czwarta**,
którą raz w tydzień niesie karta
w „Kurjerze"
Więc radziście **Piąci** szczerze,
gdy **cały** w nim przychodzi,
pożeracz długich, szarych godzin.

• • •

Rozwiązania z dopiskiem „Dział rozrywkowy" prosimy nadsyłać do Redakcji najdalej **do środy dnia 18 kwietnia br.**

Za trafne rozwiązanie wszystkich zadań przeznaczamy do rozlosowania, jako nagrodę interesującą powieść.

• • •

Rozwiązanie zadań z nr. 83.

Przedwiośnie: Boćki lecą, bazie wonieją.

Trójkąt magiczny: Komunikat, maligna, Negus, Kra, Transeant.

Rebusik geograficzny: Ponura Armenja

Przestawianki. Brak-Krab, Prut-trup, bróg-gròb, drut-trud.

Szarady w aforyzmach: Jerozolima.

Wspakówka: 1) Atena, rajca, Napal, krata, kłoda, panna, sakwa, ładna, bagna, klasa, watra, Mława, Kanak. — 2) Kana, kawał, Marta, wasal, Kanga, banda, ławka, sanna, padół, katar, klapa, nacja, reneta.

• • •

Rozwiązania nadesłali,

ze Lwowa pp. „Jota", inż. J. W., „Arja" Zofja Fr., M. Ruxerówna, Ant. Dworski, Eug. Dworski, Ir-ka, H. Konstantynowicz, Wład. G., M. Zygmuntowicz, J. Kwiczoł, Hel. Adamowa, M. Szydłowska, J. Tomaszewska, Hel. Kowalska, R. Wit.

z poza Lwowa pp. „Olga" (Jarosław), Cz. Murczyński (Kraków), M. Kański (Kraków), J. Piotrowski (Kraków), ks. J. Domański (Drohowyże), Hel. Mokrzycka (Drohobycz), Biesiadecki (Puków).

Nagrodę uzyskała p. **Wład. G. we Lwowie.** Prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór w naszym kantorze (Zimorowicza 10).

Z za kulis filmu

Ameryka. Harold Lloyd jest nietylko świetnym aktorem (ostatnio odniósł wielki sukces w filmie Foxa „Koci Pazur) lecz również doskonałym kompozytorem. Niedawno skomponował piosenkę „Noc i Chwila" i już po kilku godzinach tańczył pod takt własnej muzyki w wielkim dancingu w Hollywoodzie.

— Sally Eilers, zdobywająca coraz to większą popularność, jest najbardziej wszechstronną osóbką z pośród gwiazd filmowych: jeździ doskonale konno, gra w tenisa i golfa, świetnie pływa, tańczy na lodzie, chodzi po linie, prowadzi auto z szybkością 140 klm. na godzinę i włada biegle 5 językami.

— Clara Bow otrzymała od jednego ze swoich licznych wielbicieli parę białych myszek jako nagrodę za świetną grę w filmie „Hopla!". Obecnie Clara jest bardzo zajęta: tresuje białe myszki.

— Liljana Harvey po londyńskiej premjerze „Wesołej Zuzanny" została przedstawiona księciu Walji, a następnie podejmowana przezeń w Pałacu Aleksandra.

Sowiety. Ukończone zostało kilka wielkich filmów, przeważnie propagandowych z których wymienić należy: „Noc w Petersburgu", według powieści Dostojewskiego oraz „Marynarze królewscy". Ten ostatni film jest gwałtowną krytyką stosunków we flocie angielskiej. Pozatem nakręcono „Burzę" Ostrowskiego oraz „Komedję małżeństwa", — i jeden film historyczny z epoki Pawła I:

Anglja. Londyn ściąga do siebie coraz więcej egzotycznych gwiazd filmowych. Ostatnio Greta Nissen, młoda piękna artystka niemiecka zakupiła w Londynie pałacyk i zamierza osiedlić się w nim na stałe.

— Planowane jest sfilmowanie głośnej powieści Oskara Wilde'a „Portret Graya".

Danja. Wielkiem powodzeniem cieszy się wyświetlany obecnie film na temat ekspedycji Rasmussena, nakręcany w Grenlandji.

Węgry. Nowo założona wytwórnia w Budapeszcie nakręca wielki film „Rapsodje węgierskie" osnuty na tle życia Fr. Liszta.

—o—

Muzyka łagodzi obyczaje

Od momentu, kiedy codzień z rana Polskie Radjo budzi nas pieśnią „Kiedy ranne wstają zorze", aż do chwili kiedy na dobranoc słyszymy hymn państwowy, ileż to muzyki, ileż melodyj, ile pieśni rozmaitej.

W królestwie eteru, w którem panuje radjo, królową jest muzyka.

Jeżeli można było zarzucać Polakom brak wykształcenia muzycznego, w porównaniu naprzykład z sąsiadami z nad Sprewy, Menu i Renu, to zdaje się radjo powzięło zamiar braki te uzupełnić.

A faktem jest niezaprzeczalnym, że zwolna muzyka zaczyna nasze obyczaje przenikać.

Za ludzkiej pamięci były już i szafy grające i muzyczki rozmaite sztuczne, którymi rozkoszowały się tłumy. Dziś już i wielkie symfonje i opery przestały być wyłączną własnością garstki melomanów. Dziś sale koncertowe mamy we własnych domach i niejeden, który nie tak dawno wogóle nic nie wiedział ani o Beethovenie ani o Mozarcie, zaczyna się wyznawać w nieśmiertelnych dziełach mistrzów największych. Wpływ dźwięków i rytmów jest przemożny, owłada i przenika i można przypuszczać, że pod ich wpływem dusza ludzka zacznie odrywać się od małostek prozy codziennej, zacznie marzyć, unosić się i odradzać w atmosferze wyższej, wznioślejszej.

Przybywając tak o każdej porze do domów naszych, muzyka staje się nam przyjacielem.

Ale czy przyjaciel ten jest zawsze właściwy? Czy odpowiedni? Oto pytanie? Krótki przegląd tego, co programy radjowe nam dają zmusza nas do bliższego ocenienia walorów tego przyjaciela. W programach tych znajdujemy wszystko: i symfonje i operetki, wielką śpiewaczkę operową obok skromnego lub nieskromnego pieśniarza, trudny, subtelny zespół instrumentalny tuż koło murzyńskiego, wrzaskliwego jazzu. A czy to wszystko na właściwym poziomie? czy odpowiada to naszym upodobaniom? Szerokie rzesze słuchaczy wolą to, czego bez wielkiego wysiłku posłuchać można. Ale czy tym systemem radjofonja nie ryzykuje, że żadnego dodatniego wpływu na słuchaczach nie wywrze?

Zgodzą się może Państwo, że niesłusznie nazywamy muzyką te słodkawe refreny, te fantazje dancingowe, od których kotłuje się w eterze! Czy zgoda?! Lecz przyznać trzeba, że są tysiączne rzesze radjosłuchaczy, które tych rzeczy nie odróżniają, dla których te różnice nie istnieją i które są bardzo zadowolone z tej właśnie „muzyki". Od swych „szaf grających" żądają oni właśnie takiej muzyki „katarynkowej". I tym może radjo tylko ułatwić to przebywanie w miernocie, to kultywowanie poziomu pozytywkowego. Musimy się zgodzić z tem, że najwyższa byłaby pora, by radjo przeszło do ściślejszej selekcji nadawanej muzyki, by tak oddzieliło ziarna od plewy, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości, że to muzyka, a to niekoniecznie...!

Są też inni słuchacze, którzy wymagają od radja wrażeń innych, wyższych. Ale czy można rzec bez zastrzeżeń, że muzyka której słuchają wysubtelnia ich smak, wznosi ich w inne strefy? Czy z koncertami na falach eteru płynącemi, nawet z temi właśnie najstaranniej pomyślanemi i wykonanemi, nie płynie bakcyl anemji moralnej? Melodja, nawet największem imieniem podpisana, może wywrzeć deprymujące wrażenie. Utwór liryczny, nadawany nawet z jakiejś Opery może na słuchacza mieć wpływ szkodliwy, gdyż i najwyższa, najczystsza muzyka nie jest wolną od cech i właściwości ujemnych.

Zastanówmy się nad tem.

Muzyka, jakaby ona nie była, przemawia zawsze do naszej uczuciowości. Bierze ona we władanie naszą podświadomość, nasze nerwy, kołysze je swym wdziękiem, podnieca akordami, wykuwa w takt swych rytmów. Przy pomocy naszych oddźwięków wewnętrznych potrafi muzyka kierować naszymi uczuciami, sugerować nam myśli i pomyślenia, bo muzyka przemawia do serc naszych, a... z sercem nie ma żartów! Cóż ta muzyka mówi nam obecnie?!

Muzyka włada mikrofonem. Gdybyż ci, którzy o niej decydują, zechcieli zrozumieć, że nie może być ona herbatką łagodzącą, a winna być natomiast krzepiącym, wzmacniającym likworem!

Muzyka nie może obyczaje łagodzić, ona winna je hartować.

A. L. C.

Prosperity powraca do Anglji

(Korespondencja własna „Kurjera“)

Londyn, w kwietniu.

Prosperity!... Business as usual! W Anglji nawrót do lepszych czasów.

Miernikiem nawrotu do lepszych czasów jest jednak nie wykaz wyładowanych tonn towarów, ani eksport węgla, czy też statystyka depozytów w bankach, lecz napływ publiczności do teatrów, dancingów, restauracyj, ilość sprzedanych sukien, pończoch jedwabnych, modnych kapeluszy...

Londyn się bawi, londyńczycy wydają chętnie pieniądze (trzeba je mieć, aby wydać) i chętnie odwiedzają i zapełniają wszystkie lokale rozrywkowe. Gdy zbliża się wieczór i kończy dzień pracy, urzędnicy i urzędniczki pędzą do najbliższego Lyons'a, gdzie można nietylko tanio zjeść, ale umyć się, ogolić, ufryzować, ba, nawet wykąpać; zamożniejsi śpieszą do swych klubów na posiłek, gdyż teatry otwierają się o godz. 8.30.

W tym sezonie teatry i music-halle cieszą się powodzeniem większem nawet niż kinematografy. Od kilku już lat nie widziano w teatrach londyńskich takich kompletów jak obecnie. Do pomyślnej konjunktury teatralnej przyczyniła się nietylko poprawa w sytuacji ekonomicznej, ale i wysiłek ze strony samych teatrów. W renowację ich włożono duże kapitały, a sukces towarzyszył wszystkim prawie nowowprowadzonym na scenę sztukom.

W danej chwili wystarcza, aby dyrekcja teatru wystawiła przyzwoitą komedję np. „Reunion in Vienna“, dobrą sztukę detektywną, jak „Ten Minutes Alibi“. czy też operetkę z kilkoma wkładkami muzycznemi łatwemi do zapamiętania, aby powodzenie było zapewnione, aby „szlagier“ grano dziesięć miesięcy pod rząd.

W „Hippodromie“ szalonem powodzeniem cieszy się co wieczór przy zapełnionej szczelnie sali operetka p. t. „Mr. Whittington“, Buchanan'a. Wystawa wspaniała, sporo obrazów przeniesionych jakby wprost z ekranu filmowego na scenę teatralną. Te właśnie obrazy skomponowane i transponowane dekoracyjnie tak. jak to się dotychczas nie zdarzało ani wydawało możliwe w teatrze, „biorą“ publiczność, przywiązaną do pejzażu londyńskiego. Oto np. drogi każdemu Anglikowi Piccadilly Circus w nocy: deszcz pada, przechodnie mkną pod parasolami, słychać stłumiony hałas pędzących aut, taksówka najeżdża na zadumanego poetę, podnoszą go, karetka pogotowia odwozi rannego do szpitala, tam dokończy swoje „marzenia“. A oto scena satyryczna: sala obrad magistratu londyńskiego, parodja dyskusji radnych, która wywołuje wśród publiczności wybuchy szalonego śmiechu.

Ze wszystkich wystawionych w Londynie operetek ta ma największe powodzenie. A po przedstawieniu, które kończy się w „Hipodromie“ czy w „Strande“, w „Saville“ około północy, spotyka się tych samych widzów w „Dorchester“, w „Café de Paris“, Monseigneur“ przy stolikach zastawionych obficie, a nawet przy szampanie; zabawa i tańce na dancingu trwają do późna w noc, nierzadko do samego rana. Wówczas gościnny zakład ofiaruje zapóźnionym gościom (zasobnym, oczywiście, w monetę) pierwsze śniadanie: obligatoryjny bacon z jajkami, grzanki i herbatę. Poczem towarzystwo opuszcza mury lokalu i ogląda ranny zaspany jeszcze Londyn, którego jedyną żywą dekorację stanowią dążący do pracy robotnicy i stojący na swoich posterunkach monumentalni, wspaniali w swoim spokoju i pewności bobby.

Co za kontrast między tym spokojnym Londynem a naszym kontynentem... Londyn, Anglicy, nie zmienili się ani na jotę. Jak było, tak jest — przepraszam — jest lepiej, niż było, jest prawie tak, jak było za dobrych czasów. Wszystkie newrozy, wzburzenia, rozruchy, emocje, histerje kontynentalne nie znajdują w Anglji podatnego gruntu. Tu się kończy ich władza. Stara Anglja ma mocne nerwy i nie daje się wyprowadzić z równowagi.

Bys.

—:o:—

Uroczystości w Cuzco

W starem mieście peruwjańskiem Cuzco, niegdyś stolicy ogromnego państwa Inków, Tahus-tisujo obejmującego znaczną część lądu Ameryki Południowej, odbywają się obecnie uroczystości dla upamiętnienia 400-lecia chwili, w której dnia 23 marca 1534 r. słynny conquistador, Francisco Pizzaro, założył Cabildo tj. ratusz w tem mieście, które zdobył cztery miesiące przedtem, pokonawszy okrutnie wojowników peruwjańskich, po awanturniczym marszu z Catamarca.

Uroczystości mają być uwieńczone założeniem w Cuzco wielkiego muzeum starożytności, do którego zasilenia w okazy, stojące w związku z dziejami krain południowo - amerykańskich, mają być zaproszone rządy wszystkich państw Ameryki Południowej.

Przedewszystkiem jednak w muzeum tem zgromadzone będą zabytki archeologiczne, znalezione w samem Cuzco i jego okolicy, gdzie rozpoczęto już na dużą skalę prace wykopaliskowe.

Na cel powyższy, jak również na założenie wspaniałego muzeum, Instytutu archeologicznego i odbudowę starych pomników budownictwa dawnego państwa Inków, kongres peruwjański wyasygnował narazie 600.000 solów (około miljona złotych).

Wakacje „Big Bena“

Amatorzy radja pozbawieni będą przez dwa miesiące przyjemności słyszenia wspaniałych dźwięków dzwonu wielkiego zegara „Big Ben“, wybijającego majestatycznie godziny na fasadzie opactwa westminsterskiego w Londynie.

Stanie się to wskutek dokonywanej co lat dziesięć naprawy i czyszczenia tego słynnego zegara.

W tym roku właśnie nadeszła ta chwila. Londyńczycy jednak są dumni ze swego „Big Ben“ nietylko dlatego, że posiada dzwon o wyjątkowo donośnym i pięknym dźwięku, lecz i z tego względu, że uchodzi za najdokładniej idący zegar na świecie.

Tak np. opowiadają, że dzięki starannemu regulowaniu w ciągu całego 1933 r. „Big Ben“ nie pośpieszył się, ani też spóźnił choćby o jedną sekundę.

Hagenbeck dostarcza lwów - Afryce

Słynny ogród zoologiczny Hagenbebecka w Hamburgu dostarcza dzikich zwierząt do wszystkich kontynetów świata. Codzień do biura tego wielkiego przedsiębiorstwa handlowego nadchodzą telegramy w rodzaju następującym: „Czy mogą być dostarczone do Kalkuty w ciągu 3-ch miesięcy dwa lwy i centkowana hjena“; „Cyrk w Rzymie pragnie nabyć w najbliższych tygodniach tańczącego niedźwiedzia i pyta się o cenę“, „Potrzebuję natychmiast trzech kangurów“ itd.

Pozatem szereg osób i firm handlowych proponuje wymianę rzadkich zwierząt.

Nabywcami zwierząt od Hagenbecka są przeważnie cyrki wędrowne i ogrody zoologiczne.

O wielkim rozmachu tego handlu świadczy przeszło 8.000 specjalnie wybudowanych klatek transportowych, złożonych w składzie długim na 100 mtr. Niektóre z klatek są wielkości zwykłego pokoju. Codzień przybywają z Singapore, Sumatry, Japonji, Chin, Gwatemali lub Melbourne, oraz odchodzą do wszystkich krajów świata transporty z czerwonemi napisami: „Ostrożnie! Żywe zwierzęta!“

Najciekawszem jest to, że wielkie drapieżniki afrykańskie są wysyłane przez Hagenbecka znów do Afryki.

Tak np. niedawno sprzedano do Maroka kilkadziesiąt lwów.

JEFFERY FARNOL 95

SYGNET SIR RYSZARDA

Tłumaczyła z angielskiego Felicja Zielińska

Teraz bowiem, gdy obserwowali jeźdźca on zakręcił z drogi i nie zatrzymując wierzchowca galopował wprost na nich.

— Do domu, chłopcy! Co żywo — krzyknął karczmarz. I odwracając się wszyscy trzej wskoczyli do szynku, ale gdy chcieli zatrzasnąć drzwi, obryzgany pianą koń dotykał niemal podkowami progu. Jeździec zeskoczył i po chwili mały szynk zadźwięczał echem i odgłosami wściekłej walki. Dziki tumult i wrzawa rosły i opadały, aż nagle zapanowało milczenie przerywane tylko raz grzmiącym raz jękliwym głosem.

— Gdyby tylko te psy nie uciekły, i nie zostawiły mnie!

— Gdzie... jest... ona? — pytał drugi głos rozkazująco.

— Na górze. — Ach, gdyby oni byli zostali przy mnie —

— Patrz... na to! — rzekł Sir Ryszard, pokazując mały rewolwer. — Zostań tu, gdzie jesteś lub —

— Na miłość Boską — nie mam zamiaru się ruszać. Jestem uległy, jak baranek! Ale, gdyby te psy —

Lecz Sir Ryszard był już na wąskich schodach.

— Heleno — wołał i usłyszał radosną odpowiedź — pełną błagania.

— Ryszardzie... O Ryszardzie, proszę cię, przyjdź do mnie... zamknęli mnie... O Ryszardzie —

— Proszę więc odejść od drzwi, a ja wtedy postaram się dostać do pani. — To powiedziawszy cofnął się i całą siłą potem uderzył w drzwi, które wywalił.. A wtedy zanim zdał sobie sprawę z tego, ona spoczęła w jego ramionach, płacząc i szlochając, drżąc i tuląc się do niego, pełna wdzięczności.

— Trzymaj mnie, Ryszardzie, — prosiła, — trzymaj mocno.

I zanim zdołał się pohamować, gładził już jej bujne włosy i tulił tę ukochaną główkę, która tak ulegle spoczywała na jego piersiach.

— O Dicku! — westchnęła. — O Dicku pełen — miłości — jesteś mokry!

— Kubeł wody! — tłumaczył.

— I jesteś bardzo zakurzony, Dicku!

— Tak, pani, zabrudzę ci suknię.

— Zabrudź więc! I nie nazywaj mnie „panią“. Ryszardzie! Twoje serce bije bardzo mocno, Dicku!

— Byłem... bardzo zajęty!

— Rzeczywiście słyszałam — zdawało mi się, że to pioruny i trzęsienie ziemi!

— Chodź.... pojedziemy?

— Tak — ale dokąd?

— Do Moat House.

— Nie, to byłoby szaleństwo! — Ręce jej zacisnęły się mocniej na jego szyji. — Zobaczyliby cię — i, gdyby złapali cię znowu!

— Nic by nie szkodziło. Bo dzisiaj, Heleno, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, ja —

Na drodze rozległ się tymczasem jakiś ochrypły głos.

— O Boże, zlituj się nademną! — westchnęła Helena. — Wracają... są tu znowu.... wicehrabia!

— Co Brocklehurst? Niech Bóg zachowa! Chodźmy się popatrzeć.

Trzymając się za ręce wysunęli się z pokoju i zeszli na dół do szynku, skąd mogli spoglądać na drogę.

Koń skubał trawę przed karczmą, a pod oknem stał niesympatyczny Jonasz Skag.

Sir Ryszard zmierzył okiem przestrzeń i wyskoczył przez okno zanim Helena zdołała go zatrzymać. Usłyszała potem dziki krzyk i wyglądając zobaczyła dwie postacie splecione w walce.... Cofając się od okna zakryła sobie twarz, ale w tej samej chwili usłyszała wesoły głos, nawołujący ją; wybiegła więc szybko na podwórze.

— Ryszardzie... ach, jak mogłeś?

— Potrzeba nam było jego konia — mój jest porządnie zmęczony. — Mówiąc to wskoczył na siodło i wyciągnął do niej rękę.

— Teraz ty, dziecko — postaw nóżkę na moją nogę — tak!

Posłuchała go w milczeniu i za chwilę siedziała przed nim, otoczona jego ramieniem.

Jechali wolnym krokiem. Sir Ryszard ponurym wzrokiem ogarnął zapadający mrok, i zdawał sobie dobrze sprawę z jej ślicznej głowy, spoczywającej na jego piersiach, ze lśniących warkoczy, które łaskotały z taką uporczywością jego szyję, uszy i policzki. Ponad wszystko jednak odczuwał jej ciepłą, uległą kobiecą serdeczność; chociaż zdawać się być zupełnie na to nieczuły. I jechali w milczeniu w ten wonny, cichy wieczór aż wreszcie ona się odezwała:

— Niestety, twoja biedna twarz! — szepnęła, a tak czule, że ramię jego mimowoli zacisnęło się i chciał coś odpowiedzieć, lecz — przypomniał sobie, jak uporczywie ona pielęgnowała myśl, że on — Gyfford of Weare mógł poniżyć się do morderstwa i jak w duszy wątpiła w jego niewinność. W tej samej chwili cofnął więc ramię i trwał w milczeniu.

— Taka nabrzmiała — westchnęła — i podrapana, chociaż bałam się, że rany będą większe.

— Trochę wody naprawi zło — odpowiedział cierpko wobec czego ona przylgnęła do niego silniej, a on przyspieszył kłusa. Po pewnym czasie odezwał się znowu:

— Pani — rzekł.

— Panie? — odparła — I proszę się tak nie marszczyć, nie wieziesz przecież nieprzyjaciela. Proszę także pamiętać, że ten biedny koń dźwiga podwójny ciężar!

— Nie zapominam o tem.

— Czemu więc każesz mu się tak spieszyć, temu biednemu stworzeniu?

— Wieczór zapada. Kilka mil mamy do Moat House.

— Pali cię taka niecierpliwość, aby tam się dostać?

— Jakto, musisz wiedzieć... no, że dużo jest do zrobienia.

— Czemu więc tego nie uczynić i skończyć z tem, Ryszardzie?

— Bo to, co jest do zrobienia, jeżeli wszystko pójdzie dobrze — musi być zrobione w Moat House.

— Czemu tam, Ryszardzie?

— Bo moich dwu najwierniejszych, najlepszych przyjaciół tam mnie oczekuje.

— A, co tam masz do zrobienia, Ryszardzie?

— Pewną rzecz, która tyczy się mojej przyszłej pomyślności.

— Proszę cię, Ryszardzie, co takiego?

— To, co mam nadzieję dowieść, że ich wiara we mnie nie była próżną.

— O! — rzekła piękna Lady, marszcząc czoło. — Jak słodko dziś wieczór pachną wieżokrzewy!

— Tak — przyznał i zatonął w ponurych myślach.

(C. d. n.)

Majówka na Krzemionkach

Rękawkowe swawole wesołków krakowskich

Do zabawy i do tańca, jakoteż do wszelakiej swawolnej rozrywki skora młódź krakowska skwapliwie korzysta z każdej nadarzającej się sposobności, aby dać upust swemu żywiołowemu temperamentowi, skłonności do zawadiactwa, rozmiłowaniu w nastrojach amoroso oraz wrodzonej wesołości.

Zawsze wesoły, skory do wypitki i bitki, pełen animuszu i niefrasobliwej beztroski Krakowiak sam o sobie śpiewa:

Niech się co chce dzieje.
Krakowiak się śmieje.
Byle łyknął piwa,
Już i mina żywa.
Hu! Ha!

Zwłaszcza we święta oddają się Krakowianie nałogowo wszelakiego rodzaju zabawom i uciechom, przy których temperatura ostatecznie podnosi się pod wpływem często a gęsto wychylanych „ampułek“ z alkoholem, sprowadzających napór energji do muskułów, a polot fantazji w zaprószone mózgownice.

Ze wszystkich zaś świąt najwięcej okazji do wesołych libacyj, suto urozmaiconych wędzonem mięsiwem i smakowitemi arcydziełami sztuki kulinarno-cukierniczej nastręczają święta Wielkanocne — równocześnie obfitujące w swawolne zwyczaje, jak np. topienie Marzanny, dyngus i śmigus, połączony z najrozwiąźlejszemi zbytkami, oraz świąteczne kiermasze odpustowe.

W Krakowie w Święta Wielkanocne największą frekwencją cieszą się wielkie zabawy ludowe pod gołem niebem, jak Emaus na Zwierzyńcu i Rękawka na Krzemionkach, mające także charakter najwcześniejszych majówek.

Są to pierwsze ekspedycje, jakie zaśniedziały w czasie zimy w domowych pieleszach mieszczuch, podejmuje na łono przyrody.

O ile dopisze pogoda najbliższe okolice Krakowa zaroją się od świątecznych wycieczkowiczów, a żartobliwie nastrojony obserwator będzie miał sporo sposobności do złowienia na swój film wspaniałych okazów wyhodowanych w krakowskich matecznikach Dulszczyzny.

Jeśli zwykłą niedzielę można sobie tak pięknie urozmaicić, i tak milutko uprzyjemnić, to cóż dopiero w uroczyste Święta Wielkanocne.

Zresztą Rękawka, ten najbardziej charakterystyczny obchód krakowski sięgający w zamierzchłą przeszłość dziejową, cieszy się tak wielką frekwencją mieszczuchów i przedmieszczan, iż z biegiem czasu przybrała charakter „trzeciego święta“, a raczej „półświęta krakowskiego“, obchodzonego hucznie, a wesoło i jako ludowe igrzysko na wzgórzach Krzemionek.

Z jakiem to rozkosznem wzruszeniem starsza generacja „krakowskich dzieci“ wskrzesza w swej wyobraźni ów przedziwnie ruchliwy „rozmaitością barw szalejący obraz dawnej Rękawki z przed 40-tu laty, kiedy to jeszcze zabawę ludową na Krzemionkach w powielkanocny wtorek urozmaicał groteskowo-frywolny obyczaj rzucania darów na głowy przedmiejskiemu pospólstwu i żebrakom rozlokowanym na spadzistości wzgórza.

Niby czarnoksięską różdżką wyczarowane, zaludniają urwiste stoki Krzemionek arcycharakterystyczne typy przedmiejskich andrusów, toczących zawzięte boje o fruwające ponad ich głowami obwarzanki, bułki, pomarańcze, jajka, orzechy, serdelki i pierniki.

Ów dawny, przepyszny typ andrusa zawadjaki powoli zanika.

Jakiż niezwykły widok przedstawiały na stokach Krzemionek te ruchliwe grupy, tworzone przez rozmaite ludwinowskie, czy prądnickie „wybijokna“, kleparskie „muchy“ i „bąki“, czarnowiejskie czy łobzowskie, „kindry“ podgórscy „dusiciele“ oraz zwierzynieckie i krowoderskie „zuchy“.

Pogrążeni w ogniu walki o łakomą zdobycz, wyrywają ją sobie nawzajem, potrącają się i koziołkują z góry na dół, wśród chóralnie wznoszonych okrzyków przez ich rywali, zajmujących niżej położone stanowiska:

— Górą panocku, górą!!

Równocześnie inne grupy, zajmujące mniej dogodne stanowiska, przyczepionych do skalistego zbocza zwolenników łatwego połowu, drą się w niebogłosy:

— Dołem panocku! Dołem!

A ponad tem rozigranem mrowiskiem pospólstwa krzyżują się, niby kolorowe rakiety ogni sztucznych na „wiankach“: ogniście migocące w promieniach słońca, kule pomarańcz, białe pociski jajek, wirujące w powietrzu owale obwarzanków, różnokolorowe kółka pierników, z przeciągliwym świstem przeszywające powietrze, kulki orzechów. Czasem przemknie ponad głowami tłumu, budząc powszechną sensację olbrzymie grono czerwonych, zielonych i niebieskich baloników, które jakiś podochocony fundator zakupił i puścił w powietrze, ku niezmiernej uciesze uczestników zabawy, śledzących tęsknemi spojrzeniami szybującego majestatycznie ponad wieżycami kościołów krakowskich różnobarwenego olbrzyma.

Przy dźwiękach oryginalnej muzyki rękawkowej, na którą składają się rozlewne melodje kataryn, orkiestrjonów i harmonijek, świsty syren i trąbek, oraz chóralne wrzaski i piski gawiedzi, stojący na górze ponad stokiem zwartem kołem „szczodrobliwi“ ofiarodawcy, podnieceni tym specyficznie rękawkowym nastrojem, miotają na prawo i lewo pieczywo, owoce, pierniki i inne... „dary“.

Od czasu do czasu urozmaicają wesołą zabawę zatrącającą barbarzyńskością epizody, co spowodowało, iż przed niespełna 40 laty barbarzyński ten zwyczaj „obdarowywania“ pospólstwa został zniesiony, a tradycyjna zabawa przemieniła się w kiermasz odpustowy, reżyserowany na krakowską modłę, z nielicznemi tylko oryginalnemi urozmaiceniami.

Wzdłuż drogi prowadzącej z podgórskiej dzielnicy miasta ku kapliczce św. Benedykta, wyrasta we wtorek powielkanocny istny las namiotów i kramów, sprzedających pieczywo, słodycze, zabawki i dewocjonalja.

Szczególnie liczną frekwencją darzą świąteczne „zawiani“ wesołkowie improwizowane przybytki Bachusa, gdzie się sprzedaje piwo, miód oraz odpustową limoniadę, podejrzanej barwy i smaku.

Na górze w pobliżu kopca Krakusa, rozbijają swe szatry rozmaite odpustowe przedsiębiorstwa, jak np. „muzeum osobliwości“, huśtawki „amerykańskie“, parawany, poza którymi dokonywa się migawkowych zdjęć fotograficznych i t. p.

Największem powodzeniem cieszą się karuzele, obsiadane tłumnie przez przedmiejskie piękności i nasze mistrzynie sztuki kulinarnej zażywające pełnej wrażeń jazdy na konikach i w łódkach.

Clou zabawy stanowiły w ostatnich latach przed wojną — niby zabytek dawnych igrzysk ludowych — zapasy, wyścigi w workach, różne gry i zabawy, a zwłaszcza wdrapywanie się przez junaków przedmiejskich na wysoki, wysmarowany mydłem słup, z którego wierzchołka ponętnie powiewały poruszane silniejszym podmuchem wiatru: kiełbasy, buty, kapot itd.

Ileż uciechy zażyli stojący dokoła owego słupa gapie, na widok rozpaczliwych wysiłków gramolącego się w górę wyrostka, przed którego oczyma majaczeje... potężny krąg kiełbasy, roznoszący woń wędzonego mięsiwa, mile łechcącą obficie alkoholem skrapiane podniebienia.

Już... już dosięga zwierzyniecki „zuch“ rękami pożądanej zdobyczy, już ją musnął z lubością kilkakrotnie kończynami palców... gdy oto nagle opuszczają go siły i zjeżdża sromotnie po słupie w dół, witany huraganem śmiechu i ironicznych docinków.

Rzadko który z wytrawniejszych i zręczniejszych zapaśników wracał do domu zaopatrzony w zdobytą kiełbasę lub z przewieszonymi przez ramię nowymi butami, czy też wystrojony w ściągniętą ze słupa kapotę.

Jak wiele radości i wesela wnieśliby dzisiaj w nory przedmiejskich mieszkańców wracający z podobnie zdobytymi darami zapaśnicy?

W przyzwoitem oddaleniu od miejsca owych igrzysk rękawkowych, na zielonym kobiercu murawy, strojnej w niesome ametysty sasanek i topazy podbiału porozkładały się obozami grupki wesoło nastrojone, uczestników obchodu. Tu i ówdzie w takt rozlewnych dźwięków harmonji rozpoczynają się tany, których charakterystyczne epizody wskrzesza żartobliwy wierszyk W. Szymanowskiego:

Patrzcie! Majster z Kleparza,
Wlawszy w czubek to, owo
Gdy sposobność się zdarza,
Tnie oberka z majstrową.
A poczciwa babina
Pod ramieniem zuchwalca
Polkę sobie wycina,
Choć muzyka gra walca.

W ubiegłych latach obserwator tych choreograficznych „popisów“, należących do stałego repertuaru rękawkowych uciech, znajdował w nich zapewne — zamiast powyżej opisanego epizodu — raczej żywą ilustracje do zabawnych spostrzeżeń znanego humorysty Fe-Fe:

A czy znasz ty bracie złoty
Nasze shimmy i foxtrotty...
Nasze stepy, dzikie tanga,
Które tańczy tu falanga.
Tańce owe tańczą stróżki
Kaźmierz, Stradom i Grzegórzki,
Tańczy andrus i dziewczyna,
Starzec nawet się wygina.
Przyklęknięcia i wykręty,
Gną się biodra, depczą pięty,
Pot się leje. Lecz ochota...
Niemasz brachu nad foxtrotta.

Wogóle teraz na Rękawce pocieszne się splata w oryginalną całość wzmożona obecnie po wojnie skwapliwość do zabawy i swawoli ze zdeformowanemi pozostałościami dawnego prasłowiańskiego obchodu.

Również wywód Łepkowskiego, który nazwę Rękawki wyprowadza od rąk chwytających jaja i bułki, rzucane z góry, znajduje wielu zwolenników wśród nałogowych miłośników krakowskich zabaw ludowych. Pomysłowi ci rycerze drobnego przemysłu, pozbawieni obecnie sposobności ćwiczenia muskulatury rąk na stokach Krzemionek, używają ich sprawnie do innych ryzykownych rękoczynów, wśród ciasnoty napierających na nich ciał pątników. Pośród rozbawionego tłumu ręce ich pracują gorączkowo... niejednokrotnie z lukratywnym sukcesem, w postaci „zwędzonego“ zegarka, sakiewki lub portfelu...

Drobne te nieporozumienia na tle „wywłaszczania“ pątników ze sakiewek i portfeli oraz doraźnej rekwizycji zegarków, nie zamącają jednak zbytnio ogólnej żywiołowej wesołości, jaka potężną symfonją śmiechu, pisków i chichotów, rozgwarem ożywionych rozmów oraz orgią rozpętanych temperamentów napełnia wzgórza Krzemionek.

A kiedy wreszcie z zapadającym zmrokiem syte igraszek i uciech pod gołem niebem, zaczynają rzesze odpływać ku miastu i tonąć w jego uliczkach, równocześnie w pobliskich szyneczkach i kawiarenkach podgórskich przy kieliszku czy też „zalewanych kubkach“ wzmaga się wesołość i ochota, często przeplatana krakowską piosenką ludową: Tutaj podniecona alkoholem sikoreczka zwierza się poufale:

Piękny kwiatek róży,
Ale w rączkę kole,
Niejednego chłopca,
Wyprowadzę w pole.

Zachęcona otwartością swej rywalki, inna turkaweczka z zadartym noskiem dorzuca wyniośle:

Jednego mam w głowie,
Drugiego w serduszku,
Cóż kiedy nie w środku,
Tylko na kontuszku.

Trzecia czarnobrewa żali się żartobliwie na niestałość mężczyzn:

Teraźniejsza młodzież
Same bałamuty,
Dwieście naraz kocha
W przeciągu minuty.

W innym przybytku Bachusa turniej śpiewaczy toczy się około kieliszka i jego społecznej doniosłości:

Kieliszek — braciszek,
Kwatereczka — siostra;
Ręka przyjaciółka
Do gęby zaniosła.

Zmieniające się szybko „kolejki“ wpływają „cudotwórczo“ na polot fantazji:

Jaś pił do Walusia,
Waluś do Michała,
Marjacka wieża
Z nimi tańcowała.

Wreszcie „doszedł do głosu“ potężny, aczkolwiek nieco ochrypły baryton, który zanim zakończył swe produkcje pod ławą, w proroczem przeczuciu mających nastąpić wypadków, z całą siłą przekonania wygłosił swe pijackie... „credo“:

Na szynkwasie siejesz,
A na basach młócisz,
Wnet w kozie wywiejesz
I goły powrócisz.

LEKSZYCKI ANTONI.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— W kapeluszach panuje nadal niesłychana rozmaitość, zarówno pod względem modeli, jak i materjału i przybrania. Zasadniczo widuje się trzy główne typy: kapelusze o bardzo szerokiem rondzie i małej, płaskiej stosunkowo główce, dalej kapelusze o formie stożkowatej, przypominające nakrycia głowy chińskich mandarynów, i wreszcie kapelusze o rondzie szerokiem tylko z przodu, ocieniającem całą twarz.

— Moda białych i kolorowych żabotów, krawatek i dużych kokard święci nadal tryumfy. Dodatki te stanowią obowiązkowe uzupełnienie sukni, kostjumu czy płaszcza.

— Kostjumy „tailleur" pojawiają się równocześnie z pierwszemi listkami na drzewach. Obok klasycznych kostjumów (najczęściej z materjału w kratkę) widzi się i inne, więcej fantastyczne, z szerokiemi rękawami na wzór kimona.

— Wiosenne płaszcze, bardzo obcisłe zakrywają zupełnie całą suknię. Obok nich — peleryny luźne 7/8 długości. Na wieczór peleryny do łokcia, ubrane strusiemi piórami.

— Przy strojniejszych sukniach wizytowych widzi się często ozdoby ze sztucznych kwiatów, a nawet niektórzy krawcy paryscy przybierają je fantastycznemi ptakami. Efektownie np. wygląda czarna jedwabna suknia z przypiętą na piersiach mewą z rozpiętemi skrzydłami.

— Kolory biały, czarny i błękitny w żywych odcieniach dominuja nadal; obok tych, niejako zasadniczych, największą sympatją cieszą się kolory stalowy, popielaty i beige.

— Koronki i tiule służą do przyozdobienia sukien i lekkich pelerynek.

— Guziki grają nadal dużą rolę jako ozdoba każdej sukni. Wyrabiane z metalu, drzewa, szkła, nawet muszelek, mają niejednokrotnie bardzo oryginalne formy owoców lub kwiatów.

— Pończochy naturalne jedwabne, i to matowe. Z wiosną pojawiają się nowe kolory pończoch, a więc: lekko różowy z żółtawym odcieniem, zwany „mandarynka", mający imitować kolor opalonej nieco skóry. Dalej bursztynowy w jaśniejszym lub ciemniejszym tonie, zależnie od koloru skóry. A wreszcie dla młodych blondynek łagodny kolor różowy z minimalną domieszką popielatego...

— Suknie pozostają nadal bardzo obcisłe i wąskie u dołu. Dla ułatwienia chodzenia suknia ma z boku rozcięcie, zazwyczaj podszyte materjałem w innym, kontrastowym kolorze, co daje bardzo ładne efekty.

Coś dla panów

Moda męska przechodzi na ogół tak nieznaczne stosunkowo modyfikacje, iż łatwo uchodzą one uwagi. Trzeba dobrego znawcy, aby mógł na pierwszy rzut oka ocenić, czy ubranie — wizytowe, spacerowe, sportowe, lub jakiekolwiek inne — odpowiada wymogom mody dzisiejszej, mody wiosennej z 1934 roku.

Bo idzi tu tylko o szereg drobnych nieraz szczegółów, łatwo mogących ujść uwagi. A jednak wiosna przynosi i na tem polu pewne zmiany.

A więc: kwadratowe, sztucznie poszerzone ramiona, — nadające mężczyźnie wygląd boksera czy atlety, — należą już bezapelacyjnie do przeszłości. Ramiona opadają ku dołowi zupełnie naturalną linją.

Marynarki nieco dłuższe zapinane na jeden guzik, piersi szerokie klapy kołnierza ścięte prosto, dłuższe lub krótsze.

Materjały jasne, o wyraźnym deseniu, — przyczem dominuje odcień popielaty.

Przy ubraniach sportowych spodnie i marynarka są z innych materjałów i o innym deseniu. Przy marynarce gładkiej w jednolitym kolorze — spodnie w kratki, — i odwrotnie.

Krawatki w jasnych, żywych kolorach: biały, srebrzysty, błękitny, beige, — prążkowane lub w desenie.

Buciki sznurowane ustępująE zwol na miejsca bucikom z gumą z boku, — który to typ widuje się zarówno przy bucikach sportowych, jak i przy eleganckich lakierkach.

Koszule z krótkiemi rękawami i wykładanym kołnierzem cieszyć się będą i nadal dużem wzięciem.

Wreszcie pojawiają się już z powrotem kapelusze słomkowe. Z cienkiej, lekkiej słomki, — z formy podobne zupełnie do miękkich kapeluszy filcowych, ozdobione ciemną lub czarną wstążką.

Moda Dalekiego Wschodu

W ciągłem poszukiwaniu nowości sięga obecnie moda paryska z powrotem do motywów egzotycznych Dalekiego Wschodu. Chiny, Japonja, Indochiny, ze swemi oryginalnemi, barwnemi strojami, stają się źródłem natchnienia dla wielkich magazynów paryskich.

Zaczyna się to już od kapeluszy: stożkowate berety, przypominające do złudzenia nakrycia głowy noszone w Indochinach, to znów szerokie, płaskie kapelusze słomkowe, stanowiące nieodłączny atrybut chińskich kulisów.



Reminiscencje Wschodu: stożkowaty kapelusz, płaszcz 3/4 długości z szerokiemi rękawami

Chińszczyzna zatrącają też najnowsze płaszcze, trzy czwarte długości, z reguły bez kołnierza, z ramionami łagodnie opadającemi naturalną linją, a z rękawami rozszerzającemi się w okolicy łokcia. Płaszcze te nosić można o każdej porze dnia i wieczora, przyczem kolor ich winien kontrastować z kolorem sukni. A więc jasne do sukni ciemnej i odwrotnie, w jednym kolorze, o ile suknia jest desenie.

Na suknie wybiera się materjały w barwne, fantastyczne desenie kwiatowe. Japonie przypominają szerokie paski, związane w dużą kokardę „obi".

Wraca również kimono w najrozmaitszych kombinacjach, oraz krótkie, luźne pelerynki z szerokim kołnierzem i szerokiemi rękawami.

Moda ta, zręcznie i gustownie zmodyfikowana przez krawców paryskich, zmienia zupełnie dotychczasową sylwetkę kobiecą, nadając jej cechy egzotycznej nieco oryginalności.

Najłatwiejsza legumina

Naleśniki jest to jedna z najtańszych i najłatwiejszych legumin, które każda kucharka potrafi zrobić.

Nie wymaga ona szczególnego zachodu, zwłaszcza stosując poniższy wypróbowany sposób, bez oczyszczenia i wypalania patelni i bez smarowania jej masłem lub skórką słoniny, co zabiera zwykle dużo czasu i opóźnia obiad.

Na naleśniki wybijam trzepaczką w garnku 5 całych jaj ze szklanką mąki i szklanką wody (wodę stosować zawsze zamiast mleka, bo naleśniki są o wiele kruchsze) i ciągle wybijając, aby grudek nie było, znów dodać szklankę mąki i szklankę wody i potem jeszcze raz powtórzyć.

Ciasto przeznaczone do farszu lub móżdżku, trzeba nieco osolić, a do wszystskich słodkich przekładań solić nie należy.

Zamiast masła do smarowania patelni, lepiej jest masło to po rozpuszczeniu wlać w ciasto dobrze wybite, a do smarowania patelni tyla tylko wziąć, aby patelnia do pierwszego naleśnika była niem posmarowana, wszystkie następne smażyć bez smarowania, bo i tak doskonale odchodzą. Podwójna z tego jest korzyść, bo naleśniki od masła o wiele się kruchsze a przy smażeniu ich niema wcale swędu. Ciasto powinno być rzadkie, aby na patelni prędko i cienko dało się rozlać. Patelnia musi być rozpalona. Naleśniki trzeba smażyć na otwartej fajerce, przechylając patelnię na wszystkie boki, aby naleśnik równo się zarumienił, a gdy z wierzchu stężeje, nie przewracać go na drugą stronę, lecz zaraz wyrzucać na talerz jeden na drugi, bo niema obawy, aby się pozlepiały.

Polski sport kobiecy

Krok za krokiem, systematycznie idziemy naprzód Sport w Polsce z roku na rok potężnieje, przechodzi na masy, osiąga wyżyny rekordów.

W tym wspaniałym postępie sportu polskiego bodajże największą rolę odegrał sport kobiecy. Rok 1933 był pod tym względem rewelacyjny. Na 11 rekordów ustanowionych w sezonie 1933 Polki zajęły aż pięć miejsc! Jest to sukces olbrzymi, nietylko sportowy, ale i propagandowy. Cztery miejsca pierwsze z nich Walasiewiczówna, trzy w biegu na 100 m. i 800 m. i w skoku wdal, oraz Wajsówna w rzucie dyskiem i jedno miejsce drugie Walasiewiczówna w biegu na 200 m.

Pranie tkanin kolorowych

Najlepszy sposób prania kolorowych tkanin bawełnianych i wełnianych jest następujący: kartofle mączyste tłucze się w kilku wodach, dla usunięcia ziemi i trze na tarce. Utartą masę wraz z sokiem wylewa się na balję, dolewa zimnej wody i pierze w tem batysty, perkale, lub wełniane materjały, nawet czarne. Zmienia się wodę i bierze świeże kartofle parę razy, dopóki nie zniknie brud i plamy. Potem płócze się w dużej ilości zimnej wody, zmieniając ją kilkakrotnie i wytrzepując po wyżęciu za każdym razem, dla osunięcia otrąbków kartoflanych. Po wysuszeniu trzepie się jeszcze raz i prasuje już nie krochmalą, bo kartofle nadają materjałom dostateczną sztywność. Tkaniny wełniane magluje się na wilgotno a potem prasuje się z lewej strony przez płótno.

Ten sposób prania jest doskonały i można go śmiało zalecić do wszystkich materjałów, ale z tem zastrzeżeniem, że należy się ściśle stosować do przepisu i w niczem go nie zmieniać. Pod tym tylko warunkiem można osiągnąć dobre rezultaty. Ma on jeszcze i tę zaletę, nie do pogardzenia dla osób oszczędnych — że jest tańszy niż mydło, lub mydliki i wiórki panamskie, które w domu, gdzie dużo osób, a zwłaszcza dzieci, stanowią znaczny wydatek w domowym budżecie, nie mówiąc już o tych domach, które oddają suknie do pralni, co jest znacznym wydatkiem.



Oryginalna suknia spacerowa z czarnego jedwabiu



Oryginalne zapięcie kołnierza z tyłu